Nr. 3. Lwów — Piątek dnia 5 Stycznia. **Rok 1894.**

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

CENY OGŁOSZEŃ

Dziś:	św. Telesfora	Naw. R. Ch. J.	Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.	Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.	Wschód słońca g. 7 m. 58	Długość dnia g. 8 m. 18
Jutro:	Trzech Króli	Rożd. Chrysta			Zachód „ „ 4 „ 16	Przybyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 4 stycznia.

Trochę ciekawych wiadomosci ze świata anarchii dostarczył proces toczący się w Barcelonie przeciw zamachowcom w teatrze Lyceo. Do poznania siły i celów międzynarodowej anarchii, która, jak się okazuje, ma swój sztab główny w Hiszpanii, posłużył drobny wypadek, pospolita kłótnia dwóch nędznych kobiet, zazdrośnych o wspólnego kochanka Munoza, siedzącego teraz na ławie podsądnych. Córka jednej z nich zwierzyła się przed drugą, że jej matka chowa dynamitową bombę na dnie wazonu z jakąś rośliną, a ta kobieta, przez nienawiść rywalki, zaraz o tem doniosła policyi. Po tej nitce władza rychło doszła do wykrycia wszystkich spiskowców, a zręczne śledztwo dokonało reszty: otworzył się widok na anarchiczne roboty, obejmujące całą Hiszpanię z jej koloniami, Portugalię, Brazylię, Włochy i Francyę. Crispi kokietuje ze swymi sycylijskimi ziomkami, którzy burzą miasteczka i mordują urzędników, a z wojskiem staczają bitwy; to w charakterze jego, boć on sam w r. 1864, zmieniając się nagle i na krótko ze ściganego spiskowca w zwolennika sabaudzkiej dynastyi, rzekł do czyniących mu wyrzuty: „Głupstwo zasady! Tak czy owak, byle cel osiągnąć i ja to potrafię, bo wiek teraźniejszy posiada tylko trzech wielkich konspiratorów: Mazziniego, Napoleona III i mnie, a my idziemy razem." Lecz Casimir-Périer konspiratorem nie jest, umiał pogodzić swój republikanizm z angielskim konserwatyzmem i dlatego we Francyi nie kokietuje z anarchią, lecz skorzystawszy z poufnych komunikatów hiszpańskiego rządu, uwięził już podobno dwa tysiące wyznawców dynamitu. Hiszpania zapewne także poświęci swe siły tłumieniu rozgałęzionego spisku, bo właśnie tą potrzebą tłómaczą pośpiech, z jakim zawarła ugodę z Marokkiem. Ugoda jest zaszczytna; sułtan obowiązał się rozbroić Kabylów i karabiny ich oddać Hiszpanom, zapłacić 23 mil. franków odszkodowania, zburzyć meczet na spornym gruncie, wytyczyć stały pas graniczny i obsadzić go swymi garnizonami, aby się napady nie powtarzały, wreszcie ukarać dowódzców buntu. Ale nie tego spodziewała się Hiszpania, podnosząc rękawicę, rzuconą jej przez Kabylów; chciała wielkich zdobyczy, takiej kolonii na afrykańskim brzegu, jaką ma Francya, chciała i sławy wojennej, która urok państwa podnosi. Jeśli więc w końcu zgodziła się na bez porównania mniejsze, to widocznie dlatego, że ma dużo w domu roboty.

Robota rzeczywiście jest olbrzymia. Okazało się bowiem, że wykryty teraz spisek nie jest odrębną całością, powstałą niedawno w przewróconych głowach kilku, czy kilkunastu hultajów, lecz początkami swymi sięga lat dawnych, łączy się organicznie z poprzednimi spiskami i stanowi ciąg ich dalszy, ich rozwinięcie się jeszcze szersze, z zachowaniem wszystkich starych anarchicznych celów.

Aby zrozumieć doniosłość tego odkrycia, a zarazem z blizka przypatrzeć się praktycznej anarchii, rzućmy okiem na ostatnie trzydziestolecie w Hiszpanii.

Po wydaleniu z kraju królowej Izabelli w r. 1865, międzynarodówka anarchiczna obrała świeżą republikę za główną stacyę swych doświadczeń. Ogniskiem propagandy była Barcelona. W rok potem było już w całym kraju 196 kółek anarchicznych, które razem liczyły 20.000 członków. Do roku 1872 rząd republikański uważał, że się nie godzi przeszkadzać propagandzie haseł, jakie się komu żywnie podobają. Nazywało się to szanowaniem wolności i praw człowieka, za co wszystkie ówczesne masońskie dzienniki wynosiły pod niebiosa rząd hiszpański. Z jaką zazdrością, z jakiemi westchnieniami czytano w anarchicznych sferach środkowej Europy tajne pisemko, opisujące pierwszy, pokryjomo odbyty w Genewie w r. 1873, kongres anarchistów! Wszakże na tym kongresie stwierdzono, że Hiszpania jest wzorem wszelkich swobód i posiada 270 bractw anarchicznych, oraz 117 związków robotniczych, liczących razem 300.000 członków, którzy codzień czerpią mądrość rewolucyjną z dziewięciu dzienników, a miły rząd na wszystko pozwala!... Niedługo już jednak pozwalał. W tym samym roku anarchiści przeszli z propagandy do czynu. W Andaluzyi związek robotników wiejskich i miejskich wypędził wszystkich właścicieli, a ziemię, kopalnie, fabryki i wszelkie warsztaty obrócił na swą korzyść. Ówczesny minister Sagasta, który i dziś stoi u steru, energicznie wziął się do stłumienia tego hajdamactwa, sądził i karał tak ostro, że dowódzcy anarchii uciekli do Anglii, a reszta przycichła. Lecz spokój trwał tylko pół roku, bo owoce propagandy tak dojrzały, że same zaczęły spadać. W Estramadurze i Bajadozie zrobiono to samo, co przedtem w Andaluzyi, a zanim rząd przywrócił tam porządek, pożar rewolucyi anarchicznej ogarnął całą Hiszpanię. Dnia 13 lutego 1873 roku ogłoszono w Barcelonie podział kraju na samodzielne małe republiki, które miały być ze sobą w federacyjnym związku; zniesienie wojska, kasatę majątków prywatnych na rzecz ogółu, trwanie dziennej pracy godzin sześć z płacą franka za godzinę, powszechne głosowanie i zupełną wolność od podatków. W Sewilli wnet poprawiono ten dekret, bo ogłoszono tak zwaną „likwidacyę socyalną", zawierającą rozdanie ziemi robotnikom, zburzenie kościołów, przetopienie dzwonów na monetę zdawkową, odebranie wszelkich praw obywatelskich osobom, nienależącym dotąd do warstwy robotniczej, wreszcie nałożenie podatków tylko na te osoby. Równocześnie skonfiskowano na rzecz ogółu wszelką nieruchomą własność, komorne zniżono pospólstwu do pięciu decimów dziennie (decim stanowi dwusetną część duro, który się równa 2 zł. 10 centom) i urzędnikom odebrano pensye. Za tym przykładem poszła Malaga, gdzie rozbrojono garnizon i spalono koszary; poszła Kartagina, gdzie anarchiści zabrali wojenne i kupieckie okręta, a ponieważ mieszczaństwo poczęło się bronić, przeto zbombardowano miasto, a potem drugi port Almeryę i chciano przystąpić do burzenia Kadyksu, ale nie pozwoliły floty obcych mocarstw. Do 8-go marca już cały kraj był w ogniu i tego dnia anarchiści utworzyli rząd własny, proklamowali się „kantonalistami", albowiem Hiszpania miała się składać z samodzielnych kantonów, a tryumwirat, rządzący republiką, oddali pod sąd. Składał się on wówczas z Castelara, Margalla i Salmerona, których okrzyknięto zdrajcami narodu. Wówczas to jenerał Pavia, na czele małego oddziału wojsk wiernych rządowi, rozpoczął walkę z kantonalistami; wkrótce przyłączył się do niego marszałek Martinez Campos — i wtedy oni we dwa ognie wzięli wojska anarchistów. Sewilla poddała się po dwumiesięcznej obronie, a Kartaginę musiano zdobywać regularnem oblężeniem, zakończonem zwycięstwem dopiero w następnym roku: Po tym sukcesie Pavia i Campos weszli do Madrytu, rozpędzili rząd republikański i kortezy, a ogłosiwszy powrót monarchii, wezwali z Terezianum Alfonsa XII. Zanim ten król przybył, marszałek Campos z ogromną wytrwałością tępił anarchię. Represya była tak sroga, że mniemano, iż zaród złego był wytępiony do szczętu. Jednakże w dziesięć lat potem odkryto spisek „La mano nera" (czarna ręka), składający się ze 130 tu grup, podzielonych na 318 sekcyi. Ilu członków miał ten związek, nie wiadomo, bo spiskowcy rychło uprzątnęli swe papiery i tysiącami uciekali do Francyi i Portugalii. Proces wykrył, że tylko w samej Andaluzyi i Estramadurze należało do spisku 42.000 osób i że ów spisek odrósł z pnia anarchicznego, niewykarczowanego zupełnie przed dziesięciu laty. Nie karano spiskowców, bo ich było za dużo; zadowolniono się tylko zburzeniem ich organizacyi, która jednak, jak się okazuje z teraźniejszego procesu w Barcelonie, rychło znowu powstała. Tym jednak razem anarchiści byli bardzo ostrożni, dwanaście lat po cichu werbowali zwolenników, gromadzili broń, pieniądze, rozdawali role i czekali dogodnej chwili. Nareszcie postanowili skorzystać z wojny z Kabylami. Plan ich był taki: rozbudzić do najwyższego stopnia szowinizm narodowy, który zmusiłby rząd do wydania wojny Marokku i oczywiście wysłania wszystkich wojsk na brzeg afrykański. Wówczas podnieśliby rewolucyę. Rozbudzenie szowinizmu narodowego im się powiodło, lecz rząd był ostrożny i wojsk nie wysyłał, bo mu dawał do myślenia niedawny zamach na marszałka Camposa. Gdyby garstka źle dyscyplinowanych anarchistów nie zrobiła na własną rękę zamachu w barcelońskim teatrze Lyceo i gdyby kochanki tych anarchistów nie poróżniły się ze sobą, to zapewne rewolucyjny ogień tlałby dalej w ukryciu, aż kiedyś jednym zamachem ogarnąłby całą Hiszpanię, aby w niej dokonać tego rabunku własności i praw, którego nie zdołał spełnić w r. 1873 ani w dziesięć lat później.

Rząd hiszpański posiada podobno niezbite dowody, że w jego kraju działa międzynarodowa anarchia, która tam założyła swą główną kwaterę. Jak masonerya w dążeniu do swego ostatecznego celu, którym jest usunięcie z Europy wszystkich tronów i wyznań, zrobiła pierwszą, na chwilę szczęśliwą próbę w Hiszpanii, gdzie przez lat ośm trwała rewolucyjna republika, tak znów anarchia, idąca za masoneryą, jak psy za wojskiem, i dążąca już do zburzenia i masoneryi i wszelkich zgoła rządów, wszelkiej organizacyi, wszelkiego ładu, obrała także Hiszpanię za swą główną jaskinię, skąd polipowe ramiona rozciągała na sąsiednie kraje. Obrała ona Hiszpanię za taką jaskinię niezawodnie dlatego, że masoństwo pokazało jej drogę i swem powodzeniem w r. 1865 nauczyło, że ten kraj łatwo podminować. Tak każde burzenie moralnego porządku, budząc najgorsze żądze, otwiera wrota anarchii.

Zamach dynamitowy Vaillanta na parlament francuski, znalazł swą parodyę w Atenach. Tam 31 grudnia rzucono na taras, łączący się bezpośrednio z salą obrad sejmowych, piekielną maszynę, której wybuch był jednak tak słaby, że tylko zniszczył posadzkę i przestraszył deputowanych. Bardzo śmiało robili oni kolosalne długi, potem odważnie odmówili kredytorom wypłaty, ale maszyny piekielnej tak się przelękli, że na następne posiedzenia żaden nie przybył. Trzeba więc było zamknąć sesyę, co uczyniono 2 bm.

Uwolnienie zupełne wszystkich podsądnych francuskich, którzy mordowali włoskich robotników w Aigues-Mortes, sprawiło bardzo złe wrażenie w całej Francyi i w całych Włoszech. *Figaro* obawia się, aby ten werdykt nie naprężył jeszcze bardziej stosunków włosko-francuskich i ostro potępia tchórzostwo sędziów przysięgłych. *Debaty* widzą w tym werdykcie dowód, że poczucie sprawiedliwości i poważne pojmowanie obowiązków tak się obniżyło, iż sądy przysięgłych straciły wszystkie swe dobre strony. *Matin* powiada, iż brak charakteru, który okazali sędziowie przysięgli w Angoulême, będzie miał okropne skutki. Można się obawiać uniewinnienia Vaillanta i każdego zgoła zamachowca. Sądownictwo francuskie straci wszelkie poważanie.

Z włoskich dzienników, półurzędowa *Riforma* pisze: „Ten wyrok będzie, niestety, nową przeszkodą do zgody dwóch narodów. Wiemy teraz, że we Francyi tak głęboko zakorzeniła się niechęć do nas, iż nawet jawni mordercy naszych robotników nie są tam uważani za godnych kary". A *Tribuna* tak się odezwała: „Niechże Włosi wiedzą, że we Francyi można ich bez ceremonii mordować. Lecz kraj, który morderców uznaje niewinnymi, sam się zabija w oczach całego cywilizowanego świata. Precz wszelkie złudzenia! Wiemy, czem jest Francya dla nas!"

KORESPONDENCYE.

Wiedeń 31 grudnia.

(Sprawy komunalne).

Posiedzenia tutejszej rady gminnej są od wielu lat najcenniejszą kopalnią dla pism humorystycznych, a kto wie nawet, czy nie jedyny pożytek tych posiedzeń jest ten, że pisma humorystyczne mają z nich podostatkiem tematu do swych dowcipów. Maszyna administracyjna funkcyonuje dzięki dobrze obmyślonym ustawom, rozporządzeniom i regulaminom, czasem dzięki wcale nie dwuznacznym „wskazówkom" namiestnictwa; samodzielnych jednak rezultatów pracy autonomicznego ciała miejskiego nie dostrzegamy prawie nigdy. Co obrade, to kłótnia nowa, co przedłożenie choćby najzbawienniejszego projektu, to wywołanie nowych tylko podejrzeń o egoizm wnioskodawców, albo wprost o nieuczciwość.

Antagonizm między frakcyą liberalną i antyliberalną nie ma swego źródła jedynie w tem, że program polityczny liberałów jest zasadniczo przeciwny programowi antyliberałów, lecz pochodzi on z jakichś czysto miejscowych i tutejszymi stosunkami wywołanych pobudek. Osobiste jednak niechęci górują nad krytyką rzeczową i doszło do tego, że bez oskarżań i oczerniań nie można sobie pomyśleć żadnej dyskusyi. Antyliberalna frakcya gniewa się o wybór ponowny dr. Prixa na burmistrza, gniewa się, że nie udzielają jej zastępcom miejsc w wydziale miejskim (Stadtrath), które są dobrze płatne, że nie uwzględnia się jej należycie przy wyborach do komisyi różnych, że nie uznaje się jej rad i poprawek, czasem może słusznych. Czy ten gniew jednak usprawiedliwia gwałtowne występy dr. Luegera, który każdego, co nie z nim idzie, uważa nietylko za swego przeciwnika, ale za wroga ludu; który w parlamencie i sejmie napada na rząd obecny, bo zasiada w nim Wurmbrand i Plener, bez względu na to, co ten rząd robi, albo robić zamyśla, a w magistracie odczytuje większości zawsze ten sam rejestr grzechów, ciężkie zaniedbania w kwestyi tramwajów, gazu, wodociągów, szkół, komunikacyi, podatków i rzekome popieranie nie miasta i jego ludności, ale przedsiębiorstw prywatnych? Cóż powiedzieć może bezstronny słuchacz na sławny onegdajszy zwrot przewódzcy opozycyi, który obiega dziś wszystkie kawiarnie wiedeńskie i z którego nie omieszkają zapewnie Volkssängerzy, jak Wiesberg, ułożyć odpowiedniego kupletu: „Wybraliście dr. Prixa burmistrzem, gdybyście mnie burmistrzem wybrali, oblizywalibyście palce po mnie!"

Było to przed trzema dniami. Rada gminna miała ostatnie swoje posiedzenie tegoroczne. Na porządku dziennym była kwestya prowizoryum budżetowego. W myśl ustawy obowiązującej, preliminarz budżetowy przedłożonym być ma na dwa miesiące przed końcem roku radzie gminnej. Tymczasem przedłożono projekt finansowej gospodarki za rok 1893 dopiero 28 grudnia. Jestto wyraźne zaniedbanie przepisów ustawy. Jakże rada gminna może rozpatrzeć się na jednem posiedzeniu w tak wielkim elaboracie, w którym sama pozycya: „szkoły" obliczoną jest na 9 milionów?

Wystarczyłoby, gdyby opozycya wskazywała na takie fakta, powtarzające się z roku na rok, i gdyby nie mięszała prawdy z niemożliwemi podejrzeniami, które osłabiają tylko wrażenie słusznych jej częstokroć wywodów. Ale opozycya inną właśnie ma taktykę. Lueger wyrzuca po raz setny większości, że do wydziału miejskiego jednego tylko wybrała przedstawiciela opozycyi, że w budżetowej komisyi należałoby się radnym antyliberalnym 10 miejsc a mają w niej tylko 7 głosów, na to Steiner woła, że liberałowie nieuczciwie postępują sobie z ludnością (za co wezwany zostaje do porządku), że budżet układa się na chybił trafił, że na szkoły w r. 1892 wydano 600.000 zł. mniej, niż preliminowano, że wydział miejski gdzieś tam kiedyś uchwalił coś na posiedzeniu, na którem obecnych było tylko 11 radców, mimo że ustawa przepisuje obecność co najmniej 12 i t. d., Gessman twierdzi, że budżet robi się dla tumanienia publiczności i wstawia się takie wydatki, których się nie robi, i t. d. i t. d.

Po wszystkich tych pięknych zarzutach większość przyjmuje prowizoryum budżetowe na trzy pierwsze miesiące 1894 i na tem kończą się hałasy, krytyki i dowcipy.

W gruncie rzeczy opozycya sama nie w najmniejszej mierze przyczynia się przecież do przewlekania prac, a więc nie może uskarżać się na to, że na gruntowną debatę budżetową nie ma czasu. Gdyby mniej mówiono o krzywdach stronnictw, a więcej krytykowano sprawy miejskie, to może i doszłoby się do jakiego ładu. Dziś zamiast pozytywnych rezultatów, któreby się dało przedstawić ludności, pocieszać ją wypada nadziejami na przyszłość, nadziejami — obiecankami.

Tak n. p. roztrąbiono w ostatnich dniach, że rada miejska całkiem poważnie zajmuje się kwestyą obniżenia podatków konsumcyjnych. Gmina pobiera 30 proc. dodatków do podatków państwowych, od piwa nawet 100 proc. dodatków. Ale jak tu myśleć o zniżeniu tych — co prawda — bardzo uciążliwych podatków, kiedy wydatki miejskie daleko szybciej rosną, niż dochody, kiedy z biedą tylko ominięto w budżecie na rok 1894 podwyższenia dodatków gminnych bezpośrednich, a deficyt faktyczny kilku set tysięcy zł. — jak o tem już donosiłem — usunięty i pokryty zostanie tylko z zasobów kasowych! Więc chyba jedynie dla oszukania wyborców puszczono ową bajkę o zniżeniu opłat konsumcyjnych.

Gdyby przynajmniej w kwestyach daleko łatwiej dających się zrealizować, jak wodociągów, budowli miejskich, tramwajów widać było jakiś postęp! O tramwajach, tej *sui generis* pladze wiedeńskiej, wciąż się mówi, ale już nie w radzie gminnej, która czeka inicyatywy namiestnictwa, ani też już w namiestnictwie, które poróżniło się było w tej sprawie z prezydyum magistratu. Cudem się może kiedyś coś stanie na zaspokojenie u każdej stacyi czekających gromadek ludzi, zmuszonych dziś obiegać przejeżdżające wozy i dobijać się o miejsce na schodach bodaj wagonu. Niedawno najwyższa rada sanitarna wskazała na niebezpieczeństwa grożące publiczności z dzisiejszego przepełnienia tramwajów. Choroby infekcyjne, zaziębienia, a nawet wprost „moralność obrażające stosunki" są następstwami wyczekiwania na ulicy i w śniegu i deszczu na wagony, a potem tłoczenia się w źle wentylowanych i zapełnionych po brzegi wozach. Należałoby pomnożyć liczbę wozów, znieść miejsca dla stojących przejezdnych, zaprowadzić dobrze opatrzone siedzenia i surowo zakazać otwierania okien, niebezpiecznego w dni zimne dla osób wątłego zdrowia; żąda się też zakazu palenia cygar w wagonie. Rok w rok powtarza się tę samą litanię, rok w rok z tym samym skutkiem. Publiczność utyskuje, opozycya w radzie gminnej gniewa

---

16)

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

Hanna tu przerwała słowa Abibaala, mówiąc:

— Wiem już, co dalej chciałeś powiedzieć, a zatem oszczędzę ci dalszego a daremnego wywodu. Myślisz, że gdyby który z synów Izraela poślubił moją córkę i wraz z nią odziedziczył Sni, dodałoby to znaczenia i powagi naszemu plemieniu i uwolniłoby je od niejednego prześladowania.

— A tak, nie inaczej, Hanno!

— Możebym się przychyliła do twojego zdania, Abibaalu, gdybym znała choć jednego Izraelitę godnego poślubić moją córkę. Dziś nie ma nikt w naszym narodzie tego stanowiska, które miał mój ojciec, kiedy był ulubionym doradcą Amenhotepa. A wahałabym się Hesz-Akerę i za takiego wydać człowieka. Bo takie wywyższenie Izraelity jest w Egipcie rzeczą wielce niebezpieczną, czego dowodem najlepszym to, że mój ojciec, mądry Efraim skończył życie w Arabii, jako tułacz pośród pokrewnych Izmaelitów. Teraz są jeszcze pomiędzy naszymi bogaci kupcy w Tebach i w Memfis. Na tem koniec; za kupca nie wydam przecie mojej córki.

— Ci kupcy, których wspominasz, nie są już prawie Izraelitami. Pośród dostatków stali się niewiernemi dziećmi Abrahama, i zapomnieli o wielkich obietnicach danych narodowi naszemu. Jeślibyś miała wydać Hesz-Akerę za jednego z naszych, należałoby wziąć męża dzielnego, pełnego przywiązania do narodu swojego, kogoś z pokolenia Judy, któremu obiecane panowanie nad światem. Wtedy wydasz twoją córkę najlepiej i będziesz mogła się spodziewać, że twój zięć będzie Faraonem i czemś więcej jak Faraonem.

— Mówisz jak przez sen, Abibaalu! Przecież i ty należysz do pokolenia Judy, a masz się lepiej i wyższe zajmujesz stanowiska od wszystkich prawie Izraelitów z wyjątkiem tych kilku kupców, o których wpierw wspomniałam, a pomyśl tylko o tem, jak śmiesznemby się wydało, gdybym moją córkę chciała wydać za takiego jak ty człowieka! Nietylko mój mąż na toby nigdy nie zezwolił, ale cały Egipt powstałby przeciw temu zamiarowi i udaremniłby go.

— Nie ma co się oglądać na wolę niewiernych, gdzie chodzi o służbę Boga i Jego narodu wybranego. Efraim, twój ojciec, szedł przebojem i pozostawił przeto po sobie wielką pamięć w Izraelu. Tyś jego córka, a jakbyś chciała wydać Hesz-Akerę w ręce Izraelity, mogłabyś to uczynić. Nic nie ma łatwiejszego dla matki kierującej każdym krokiem swojego dziecka. A rzecz byłaby skończoną, gdyby jaki Izraelita przez jeden dzień posiadł Hesz-Akerę. Tego dnia niktby już nie mógł wymazać z ksiąg przeszłości, byłoby już niepodobieństwem, aby jakikolwiek znakomity Egipcyanin poślubił Hesz-Akerę, a Sni stałyby się własnością Izraelity z pokolenia Judy i pierwszym stopniem Jakóbowej drabiny, po którejby się wyniósł do szczytu potęgi i chwały.

— Powtarzam raz jeszcze, że mówisz Abibaalu, jakby przez sen. Nie poznaję w tobie tego rozsądnego i trzeźwego człowieka, którego znam od tak dawna; szczęście, że masz żonę i dzieci, bo posądzałabym cię o to, że oszalałeś przez jakąś pożądliwość, czy przez jakąś ambicyę, dla której nie mogłabym znaleźć nazwy. Tak, muszę uznać, że miłość narodu wprawiła cię w rodzaj obłąkania. Niemniej przeto żal mi ciebie, Abibaalu, bo mógłbyś stracić chleb, który jesz u męża mojego, gdyby to obłąkanie potrwało dłużej. Radzę ci przeto, Abibaalu, idź zażyć odpoczynku, a wyśpij się dobrze, aby podobne myśli nie wróciły do ciebie, bo musiałabym inaczej przestrzedz Amenhę, któryby cię odprawił.

Hanna skinęła po tych słowach ręką uprzejmie, ale rozkazująco. Abibaal powstał tedy ze swojego krzesła, pokłonił się Hannie, przykładając prawicę najpierw do czoła a potem do piersi i odszedł z zaciśniętemi gniewnie zębami. Wsparty o swój kij długi, szedł po wczesnej nocy do dzielnicy miasteczka, zamieszkałej przez Hebrajczyków, w której miał dom własny.

Droga wiodła po przed świątynię Horusa. Abibaal stanął przed jej dwoma wieżami zarysowanemi niewyraźnie pośród ciemności, zamruczał kilka słów cichych i splunął trzy razy. Kilka ogromnych egipskich niedopierzów o lisich głowach, przeleciało ponad jego głową, nie wiedzieć, na jaką wróżbę. Potrząsnął brodą gniewnie i poszedł dalej.

Niezadługo potem zaszedł już w stronę swojego pomieszkania. Ta część miasteczka zamieszkana przez Izraelitów nie różniła się wcale od reszty Sni; i tu był obszerny majdan, w którym niepodobna było odróżnić szczegółów teraz w nocy, przy słabym blasku niezliczonych gwiazd plamiących złotem niebo z atramentu. Co najwięcej można było stwierdzić, że ten majdan był o wiele obszerniejszy od tamtego, przy świątyni Horusa, że służył jako pastwisko i że różne bydło spało na niem.

Abibaal nie poszedł do domu swojego. Godzina była jeszcze wczesna i pragnął się dziś jeszcze rozmówić z jednym człowiekiem. Zaszedł tedy do wielkiego namiotu stojącego pośrodku majdanu i odsłoniwszy kotarę u wstępu, znalazł się w niewielkim przedziale służącym jako sień namiotu. Tu siedziało pacholę przy bladem świetle małej nieoszklonej oliwnej lampy. Abibaal spytał się pacholęcia, czy może się widzieć z Labanem, i został po chwili wpuszczony do drugiego, znacznie obszerniejszego przedziału namiotu, oświetlonego o wiele lepiej przez kilkoramienny blaszany świecznik, stojący na stole obok małej skrzynki strzeżonej przez dwie pozłocone sfingi. Zresztą rogóże rozścielone po całej podłodze i poduszki, poustawiane w rogu stanowiły jedyny sprzęt izby. Kobiety i dzieci w jednym z rogów były zajęte przędzeniem, a starzec; ubrany tak jak Abibaal, ale ozdobiony bardzo długą siwą brodą, siedział na ziemi, koło stołu, zamyślony i nieruchomy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

się głośno i dość rubasznie, a towarzystwo tramwajowe robi swoje.

Niezgoda w stołecznem ciele autonomicznem jest po części przecież tylko wyrazem charakteru całej ludności więcej zrzędzącej, niż przedsiębiorczej, więcej oskarżać się lubiącej, niż do reform skłonnej. Z drugiej strony zjadliwość dyskusyi przenosi się też z magistratu do towarzystw i zebrań prywatnych i wolność omawiania różnych postulatów staje się wolnością obmawiania się wzajemnego.

Doniosłem już o zgromadzeniu nauczycieli ludowych, którzy zaprotestowali przeciw rozporządzeniu byłego ministra Gautscha, nakazującemu przy obsadzaniu posad żeńskich uwzględniać przedewszystkiem nauczycielki, choćby zawakowała i posada kierownika (zarezerwowana dotychczas dla sił męskich). Nauczyciele odmawiali kobiecie zdolności pedagogicznej, a nawet miłości dzieci — i wystosowali memoryał do ministra. Przedwczoraj zebrały się tedy nauczycielki celem obrony swych interesów. Nie bez racyi wskazywały one na nietaktowność swych męskich kolegów w konkurencyjnej walce o chleb i udowadniały cyframi, że nauczycielka zawsze jeszcze jest upośledzona. W Wiedniu jest tylko 5 kierowniczek szkół ludowych, a posiada kwalifikacyę na taką posadę 46 nauczycielek ze służbą więcej niż 22-letnią. Niech nauczyciele, którzy rzekomo wyłącznie dzieci kochają, spróbują pracy w ochronkach i freblówkach. W końcu na tem zebraniu uchwalono, że nauczycielki także wystosują memoryał. — Biedni ministrowie!

Paryż 30 grudnia.

Przyszły do nas święta ciepłe, nieprzystrojone w śnieżną szatę. Co chwila z za chmur wyglądało słońce, a pod nogami niezliczonych tłumów, snujących się po ulicach Paryża, pluskało rzadkie jesienne błoto. Bulwary jak corocznie zalegli przekupnie ze swymi straganami, na których sprzedaje się wszystko możliwe, pełno zwłaszcza sławnych paryskich figlów, zabawek, jakby z niczego, z lada strzępka stworzonych. Tu przekupnie niby na polskim małomiasteczkowym odpuście, krzycząc z całych piersi, zachwalają towar, tam rozbili swoje koczowisko „artyści", którzy za kilka sous rysują na poczekaniu portrety przechodniów, ówdzie jacyś handlarze „cudownych pigułek" dla zwrócenia na siebie uwagi postroili głowy w hełmy średniowiecznych rycerzy. Kawiarnie i restauracye przepełnione, przez wszystkie dworce napływają olbrzymie zapasy żywności, samych ostryg w czasie przedświątecznym przywożą do Paryża dziennie 370.000 kilogramów, po sklepach, na ulicach, wszędzie ścisk i gwar; oto obraz Paryża w czasie przedświątecznym. A podczas świąt to samo. Można powiedzieć że Boże Narodzenie obchodzą Paryżanie na ulicach, które zwłaszcza w noc wigilijną aż do białego dnia roją się od publiczności. Wszyscy „pasterkują", a pasterką nazywają tu nietylko jak u nas mszę odprawianą w Boże Narodzenie zaraz po północy, ale przedewszystkiem obfite uczty, wyprawiane po domach, na które jedni do drugich chodzą. Nie jest to nic podobnego do naszej tradycyjnej wigilii, ale zwykłe, z wielką wspaniałością urządzone bankiety, na których tylko rolę naszego barszczu z uszkami, ryby i strucli, odgrywa tu tradycyjna i konieczna tego dnia w każdym domu... kiełbasa.

Po kościołach tylko pasterka podobną jest do naszej; zapełniają je tak samo jak u nas tłumy pobożnych, światła płoną, rozpraszając ciemności, niby symbol przyjścia na świat Zbawiciela, rozpraszającego mroki pogaństwa. Nad pochylonemi głowami modlących się płynie prześliczna muzyka... a przecież nam Polakom w takiej chwili tęskno za naszemi kolendami!

Dla dzieci jak i u nas dzień to gorączkowych oczekiwań. Nie ma wprawdzie jarzącego się od świateł „Bożego drzewka", ale dzieci, idąc spać składają po jednym trzewiczku do kominka, a zaledwo zacznie dzień szarzeć, w koszulkach, boso, biegną zobaczyć jaki podarek każdemu z nich *Le petit Noël* zostawił w trzewiczku.

Przez święta niczem, żadną ważną sprawą Paryż się nie zajmuje. Bawi się tylko z całej duszy. Teatra przepełnione, a aktorzy upadają ze znużenia, bo w wielu teatrach oprócz przedstawień wieczornych muszą brać udział w popołudniowych tak zwanych *matinées*, dawanych po cenach zniżonych i z repertoarem specyalnie zastosowanym do publiczności świątecznej. Na scenach pierwsze miejsce zajmują t. zw. *revues*, czyli uscenizowane przeglądy wypadków ubiegłego roku. Wynalazek ten, który teatralnemu światu francuskiemu nie przysporzy sławy, nie przyjął się dotąd nigdzie po za murami stolicy Francyi, za to w Paryżu cieszy się ogromnem powodzeniem. Co roku przybywa po kilkanaście zlepków, nad którymi mozolą się nieraz bardzo zdolne głowy. Każda taka *revue* zbudowana jest mniej więcej według jednego szablonu. W każdej prawie znajdują się t. zw. *compère* i *commère* dwie postacie, które prawie nie schodzą ze sceny, służą do powiązania luźnych scen i do wypowiadania sentencyi i tendencyi autora. Czasem jednakże kum i kuma bywają jakiemiś uosobieniami, a wtedy sąd w ich usta włożony przez autora nabiera oryginalności, łamiąc się w pryzmacie indywidualności; zazwyczaj to kuma nosi jakąś postać. „Jest więc Francyą, dobrem miastem Paryżem, opinią publiczną, księżycem (*La lune*) n. p. który na zaproszenie deputowanego Deloncla, zeszedł na ziemię... Kumowie nie bywają tak urozmaiceni, autor jednak przeglądu odegranego w małym teatrzyku *La Cigale*, wpadł na ideę uczynienia kumem... Sarcey'a. Koncept ten przyjęty był bardzo dobrze przez publiczność i przez samego Sarcey'a. W innym znowu teatrze, *Cluny*, pokazano nam cały aparat polityczny i wybory. Jest to pantomina. Ludzie schodzą się, gestykulują, dwóch jakichś panów wygłasza mimicznymi środkami... mowy, ruch ogromny na scenie, rozgorączkowanie — wreszcie tłumy się cisną do urn i składają kartki. Obliczenie ich i ogłoszenie nazwiska wybranego. Szczęśliwiec prezentuje się publiczności jako — kum przeglądowy. Nie było to jednak zabawne, może dlatego, że publiczność, o ile nie zna treści i nie wie z czytania krytyki, że są to wybory na kuma, nic z tego ruchu nie rozumie. Autorowi szło jednak o wprowadzenie pantominy do swojego przeglądu, pantomina bowiem była w roku bieżącym wielką aktualnością paryską. Może to się wydać niejednemu rzeczą dziwną, ale fakt to jest niewątpliwy, że pantomina zyskuje w Paryżu na popularności i posiada wielu zwolenników. Bardzo poważne toczyły się dyskusye, o ile Komedya francuska, ta świątynia sztuki, jest godnem lub niegodnem dla pantominy miejscem. Są teatry, gdzie grają tylko pantominy; aktorzy nietylko poważni ale nawet znakomici, jak np Galipeaux, — nieporównany Leplucheux we „Filipocie", — popisują się z monominami.

W *Théatre libre* np. cieszy się powodzeniem pantomina p. t. *Amants éternels*, będąca jakby fantastycznym dalszym ciągiem szekspirowskiej tragedyi „Romeo i Julia".

Pantomina ta składa się z trzech obrazów. W pierwszym widzimy podziemia, w których spoczywa nieruchomo Julia po zażyciu trucizny. Przybywa tu Romeo, aby obok ukochanej życie sobie odebrać, gdy w tem Julia daje oznaki życia, naturalnie więc Romeo chwyta ją w swe objęcia i wynosi w szale radości. Obraz drugi przedstawia pożycie małżeńskie Romea i Julii; on pracuje nad rozwiązaniem zadań geometrycznych, ona, zajęta gotowaniem obiadu, nie ma nawet czasu, aby grać na ulubionej niegdyś mandolinie. Kłótnia pomiędzy nimi jest nieustanną. Tymczasem przyjaciel domu, Benvolio, zaczyna objawiać Julii swe uczucia, powtarza się więc ta sama scena balkonowa co niegdyś, z tą różnicą, że wpada Romeo, który wymierza doraźną sprawiedliwość wielbicielowi swej żony. Obraz trzeci, to znowu podziemia, do których zniechęcony życiem Romeo przyprowadził Julię i zniewala ją do zażycia trucizny, i sam się truje.

Mniej aniżeli z tą pantominą powiodło się „Teatrowi wolnemu" ze sztuką pp Perrina i Couturiera *L'inquiétude*. Jestto jedna z niefortunnych prób wprowadzenia subtelnego, psychologicznego tematu powieściowego na scenę, na której staje się niejasnym, mglistym, a nawet nudnym.

W *L'inquiétude* występuje nauczyciel wiejski, Daniel Ribes, należący do rzędu ludzi, którzy sami są twórcami swego nieszczęścia. Schorzały, zdenerwowany, widzi wszystko w ponurych barwach, dręczy się podejrzeniami i nieustannym niepokojem. Słyszy on, jak pewnego dnia pomocnik Jousselin, prosi żonę jego o chwilkę rozmowy i oto zaraz budzi się w jego umyśle cała sieć podejrzeń. Podsłuchuje więc z ukrycia, jak Jousselin prosi Maryę o wyznaczenie mu mieszkania w budynku szkolnym, gdyż środki jego nie pozwalają na dalsze opłacanie oberży; nie zwraca się on z tem żądaniem do Daniela z uwagi na niechęć jego do siebie. Po wyjściu Jousselin'a Daniel Ribes obarcza żonę wyrzutami, a dopatrując się w prośbie swego pomocnika pretekstu jedynie dla zbliżenia się z żoną, wypowiada całą swoją doń nienawiść. Marya broni się gorąco przeciw tym nieuzasadnionym podejrzeniom, ale pomimo to myśl, rzucona przez męża, zaczyna kiełkować w jej mózgu; Jousselin w istocie, przeniósłszy się na mieszkanie do budynku szkolnego, objawia jej otwarcie swą miłość, a Marya nie czuje się na siłach temu uczuciu opierać. Tymczasem choroba Ribes'a przyjmuje zatrważające rozmiary, umiera on wreszcie, a wtedy Marya, która zdawała się już bliską upadku, otrząsa się z czaru, odzyskuje panowanie nad sobą i zrywa niepowrotnie z Jousselin'em.

Z pogardzonej w czasie świątecznym polityki, warto wspomnieć o zbliżających się wyborach do senatu. W Paryżu postawił swoję kandydaturę Floquet, walka więc będzie bardzo interesującą.

Gdzieindziej nie brak zabawnych zajść. W Allier np. kandyduje deputowany Thivrier, który, zanim wybrany został do izby deputowanych, złożył swoim wyborcom przyrzeczenie, że nigdy nie wystąpi tam inaczej, jak w bluzie robotniczej. Teraz zaś chciał dostać się do senatu i chciał zaimponować wyborcom tem samem przyrzeczeniem, ale ubiegł go jego przeciwnik, który oznajmił, że w razie wyboru zjawi się w senacie nietylko w robotniczej bluzie, ale i w robotniczych sabotach. W departamencie Cote d'Or, ciekawi wyszli z urny prawyborcy, którzy znów głosować mają na senatora. Obdarzono tam bowiem między innymi tą godnością... Papieża Leona XIII i króla włoskiego Humberta. Naturalnie oba te mandaty unieważniono.

Kilka słów o fabrykach cukru.

Jedną z głównych przyczyn smutnego stanu ekonomicznego naszych gospodarstw galicyjskich jest brak przemysłu gospodarczego i niestosowne zużytkowanie w wielu wypadkach tak znakomitych gruntów, jakie Galicya posiada. Przemysł gorzelniany w kraju bardzo obficie reprezentowany, należy uważać za wielkie dobrodziejstwo, ale tylko w takich okolicach, gdzie uprawa kartofli przez samą właściwość roli jest wskazaną; gdzie jednak ziemia jest tak dobra, że uprawa innych roślin byłaby możliwą, na pierwszem zaś miejscu uprawa buraków cukrowych, tam, zdaje mi się rozrzutnością forsować uprawę ziemiaków. Ileż to jednak w kraju jest okolic, które do uprawy kartofli zupełnie się nie nadają, gdzie ta uprawa z największem ryzykiem jest połączona O tem zdaje mi się tegoroczne zbiory ziemniaków dostatecznie gospodarzy galicyjskich przekonały.

Gospodarstwa w okolicach gorzelni pozbawionych, są po prostu skazane na wegetacyę bez nadziei polepszenia, gdyż produkcya zboża samego wobec coraz gorszych cen, żadnych nie przedstawia korzyści, przeciwnie staje się powodem dalszego upadku, gdyż nic nie zastąpi dobroczynnego wpływu uprawy roślin okopowych.

Czyż jednakowoż stan ten jest koniecznym, czy przy odrobinie energii nie dałoby się z tych stosunków wyłamać i zamiast zadowalniać się egzystencyą z dnia na dzień, czy nie moglibyśmy stanąć na silnych podstawach, rozwijając przemysł gospodarczy *par excellence* tj. przemysł cukrowy?

Zastanowimy się przedewszystkiem nad korzyściami, jakie przemysł cukrowy dla gospodarza przedstawia.

Mała fabryka cukru potrzebuje na jedną kampanię około 300.000 centnarów metrycznych buraków. Centnar buraków płaci się od 1 złr. do 1·30. Morg dobrze uprawionych buraków daje przeciętnie 120 do 150 centnarów. Żadna inna produkcya podobnego rezultatu nie wykaże. Wprawdzie obrobienie buraków jest dość kosztowne, lecz za to podana przeciętna wydatność 120—150 centnarów z morga jest bardzo nisko wzięta, a dobre grunta większym wydatkiem się poszczycą. Do wyprodukowania 300.000 centnarów potrzeba 1500—2000 morgów pola, więc cała okolica w obrębie mil kilku znajduje się w tem miłem położeniu zużytkowania gruntów swoich dostarczając buraków do cukrowni, przez co dochody całej okolicy się wzmagają.

Nietylko właściciel większych posiadłości, lecz i włościanin przyzwyczaja się powoli do uprawiania tego produktu, co każda fabryka ułatwia mu przez udzielanie zaliczek, a nawet nasienia.

Dobroczynny wpływ fabryk cukru polega nietylko na umożliwieniu większej renty z gospodarstw rolnych przez produkcyę buraków. Oto rola spulchniona przez uprawę buraków i oczyszczona z perzu i chwastów nadaje się znakomicie pod uprawę jęczmienia tak, że zalety jęczmion morawskich i czeskich nierzadko przypisywane bywają wyłącznie wpływowi uprawy buraków cukrowych w tych krajach.

Główna korzyść jednak dla producenta polega na tem, że odpady, wynoszące przeszło 50 pct., wracają się gospodarstwu i umożliwiają powrócenie ziemi zabranej siły.

Jako dalszą korzyść wspomnieć wypada także liście buraków, dostarczające znakomitego pożywienia dla krów.

Wkońcu jedną z bardzo doniosłych korzyści jest to, że ludność w okolicach posiadających przemysł cukrowy ma stały zarobek w porze, kiedy go najwięcej potrzebuje, to jest w późnej jesieni i w zimie, wtedy właśnie, kiedy zatrudnienie sił roboczych w fabryce gospodarzowi uszczerbku nie zrobi. Zbytecznem byłoby zwracać uwagę na pośrednie korzyści wynikające ze wzmożenia ruchu handlowego, przypadające w udziale częścią pośrednikom w dostawach surowego i gotowego produktu, częścią kolejom i instytucyom transportowym.

Warunki przemysłu cukrowego polepszyły się w ostatnich czasach nadzwyczajnie, a zapotrzebowanie było tak wielkie, iż nawet chwilowy brak fabrykatu uczuć się dawał. Cywilizacya, rozszerzająca się coraz więcej w okolicach znajdujących się niegdyś na najniższym stopniu kultury, pociąga za sobą większe wymogi, większe wyrafinowanie w życiu codziennem, przez co wywóz cukru, przez rząd w postaci premii popierany, ma najlepsze widoki nietylko na teraz, ale i w przyszłości. Export cukru skierowany jest po największej części do Hamburga, dla Galicyi więc export cukru miałby prawie te same warunki co dla Czech. Podczas jednak gdy Czechy mają przeszło dwieście fabryk cukru, gdy Węgrzy z każdym rokiem nowe fabryki zakładają, Galicya obojętnie patrzy na powodzenie tych krajów i zadowalnia się przysłowiem „Jakoś to będzie". W czem szukać powodów braku przedsiębiorczości u naszych gospodarzy?

O ile poznałem stosunki galicyjskie — a miałem ku temu sposobność, będąc sam właścicielem majątku ziemskiego — główną przyczyną, dla której przemysł u nas się nie rozwija, jest obawa, że każdy, kto się na te bystre wody puści, musi stracić. Jest w tem trochę racyi, ale tylko wtedy, jeżeli przemysłu chwyta się człowiek niefachowy, nieposiadający znacznych kapitałów i nieumiejący rachować. Zapatrywanie jednak takie w ogóle wydaje mi się wprost niegodnem naszego wieku; bo przecież z kredką w ręku człowiek praktycznie na świat patrzący potrafi obliczyć do grosza, co mu się opłaci, a co nie.

Przecież kilka fabryk w ostatnich czasach w Galicyi powstałych, a polegających na żywotnych potrzebach kraju, prosperuje i wzmaga się doskonale, a czy przemysł cukrowy nie jest również potrzebą ekonomiczną Galicyi, kraju tak wybitnie rolniczego? Zapatrywanie to, że lepiej nie ryzykować, żeby nie stracić graniczy nieraz z absurdum. Nie da się zaprzeczyć, że przemysł cukrowy w Galicyi miałby zrazu wiele przeciwności do zwalczenia, przedewszystkiem z powodu braku sieci kolei tak rozwiniętej jak w krajach wyższej kultury. Lecz zarzut ten dotyczy tylko niektórych okolic; sieć kolei w ciągu lat ostatnich powiększyła się znacznie, a sam potężny przemysł gospodarczy nowe odnogi stworzy, czego dowodem fabryka cukru w Tłumaczu.

Dalszy zarzut, który zrobionym mi być może, jest, że do założenia cukrowni trzeba wielkich kapitałów. Słuszne to twierdzenie. Bez kapitału wynoszącego 500.000 do miliona złr. cukrowni zakładać nie można, a czem większy kapitał obrotowy, tem większe widoki powodzenia.

Lecz znaną jest przecie rzeczą, że i u nas w kraju nie brak znacznych kapitałów. Właściciele wielkich majątków z łatwością w spółce, lub nawet własnymi środkami potrafią przedsiębiorstwa takie utworzyć, byleby chcieli dobre chęci nietylko słowami, ale czynem okazać.

Jakkolwiek ten sposób zakładania fabryk dla uczestników znaczne przedstawia korzyści, to jednak w gruncie rzeczy ryzyko jest bardzo wielkie, to też za najstosowniejszy sposób uważać potrzeba towarzystwa akcyjne. Pieniądz dzisiaj coraz tańszym się staje, a kapitaliści niemieccy, czescy, ba nawet zagraniczni z chęcią udziałby wzięli w tworzeniu przedsiębiorstw na zdrowych posadach polegających. Wszak wzmożenie się przemysłu węgierskiego w pierwszej linii obcym kapitałom Węgrzy zawdzięczają.

Mylnem jest zapatrywanie, jakoby ściąganie kapitałów obcych do kraju było szkodliwem. Przeciwnie jest ono bardzo wskazanem tam, gdzie brak własnych kapitałów, lub brak chęci ryzykowania ich. Chociaż procenta popłyną za granicę, to ileż pożytku te kapitały dla kraju tymczasem przyniosą producentom przez wzmożenie dochodu z roli, robotnikom itd. itd. A któż wie, czy część tych procentów w kraju nie zostanie? Towarzystwa akcyjne w całym świecie dziś główną rolę odgrywające, tylko w Galicyi jakby nie istnieją.

Wobec polepszającego się kredytu krajowego nie trudnoby było towarzystwa akcyjne i u nas do życia powołać.

Nim jednak takie towarzystwo działalność swoją rozpocznie, potrzeba przedewszystkiem zapewnić byt fabryce powstać mającej, t. z. musi się mieć przedewszystkiem pewność, że nie braknie produktu surowego.

Jest bo już rzeczą inicyatora nowej fabryki producentów pozyskać, obiecując cenę stosowną do ceny produktu gotowego, rzeczą zaś gospodarzy interes swój dobrze pojmujących, jest zadanie to im ułatwić.

Towarzystwo akcyjne, rozporządzające dostatecznym kapitałem obrotowym, mające zapewnioną ilość produktu surowego, mając w Czechach znakomite źródła do fabrykacyi cukru potrzebnych maszyn (na pierwszem miejscu czesko-morawska fabryka maszyn koło Pragi w Lieben) wystarawszy się o energicznego i fachowego kierownika i kilku pomocników z innych prowincyi Austryi — nim tacy pomocnicy w kraju samym się wykształcą — mając taniego robotnika i dobry surowy materyał, stanie się dobrodziejstwem dla całej okolicy, a akcyonaryuszom przyniesie sute dywidendy.

Ostatni bo to już czas, żeby Galicya ocknęła się z tej nieporadności, żeby pokazała innym prowincyom państwa, że sama swoje niezbędne potrzeby pokryć potrafi i żeby nie dała się — że się tak wyrażę — obsługiwać jak dziecko w pieluchach, sąsiadom, którzy snu głębokiego we własnym swoim interesie zawsze życzyć jej będą.

Wiedeń w grudniu 1893. *W. Stanek.*

KRONIKA.

Lwów 4 stycznia.

Mianowania. Radzca pocztowy we Lwowie, p. Emil Gaberle, otrzymał tytuł i charakter starszego radzcy pocztowego.

Superiorem OO. Jezuitów we Lwowie został ks. Henryk Jackowski, któremu zarazem powierzono zarządzanie missyi i rekolekcyi ludowych.

Podwyższenie płacy. Ministeryum handlu podwyższyło od 1 stycznia rb. płacę praktykantów pocztowych z 300 na 400 złr. rocznie.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa miejska w Krakowie rozpisała z terminem do 15 lutego rb. konkurs na kilka posad nauczycielskich w 6-klasowych szkołach w Krakowie.

Rektorat szkoły politechnicznej ogłasza z terminem do końca bm. konkurs na posadę asystenta katedry chemii ogólnej w szkole politechnicznej we Lwowie z roczną płacą 600 złr. — Kuratorya fundacyi Stan. hr. Skarbka ogłasza konkurs na posadę dyrektora zakładu sierót i ubogich w Drohowyżu. Do posady tej jest przywiązana płaca 2000 złr. rocznie, wolne pomieszkanie w zakładzie i opał. Podania należy wnieść do 31 stycznia rb.

Z gal. Towarzystwa muzycznego. W niedzielę dnia 7 bm. odbędzie się w sali Towarzystwa (gmach teatralny) pod artystycznem kierownictwem dyr. Schwarza drugi koncert.

Ze sfer notaryalnych. Z dniem 1go stycznia r. b. przenieśli się pp.: Jan Postępski notaryusz w Podbużu do Birczy i Konstanty Rudnicki, notaryusz w Złotym Potoku do Husiatyna. P. Karol Rampelt, mianowany notaryuszem w Sokołowie, złożywszy przepisaną przysięgę, objął urzędowanie.

Urzędnicy salin galicyjskich przybyli onegdaj do Lwowa, aby ze starszym radzcą górniczym i naczelnikiem salin wielickich p. Sylwerym Miszkem na czele pożegnać imieniem całego grona urzędników salin krajowych ustępującego z czynnej służby starszego radzcę skarbu i referenta dla krajowych spraw salinarnych p. Maurycego Postla, któremu, jak doniosły telegramy, nadał Cesarz w uznaniu jego długoletniej, gorliwej służby tytuł i charakter radzcy dworu.

Podczas swej przeszło 40-letniej służby techniczno-administracyjnej zdołał p. Postel zjednać sobie powszechne uznanie, posiadając głęboką wiedzę zawodową, niezwykłą znajomość stosunków i ludzi, oraz takt w postępowaniu.

Żegnający swego ustępującego referenta podnieśli w szczególności zasługi jego około polepszenia bytu tak podwładnych urzędników, jak i sług i dozorców, oraz robotników salinarnych, których był Postel prawdziwym opiekunem i zapewnili go o głębokiej wdzięczności całego personalu salin galicyjskich, wyrażając szczerą radość z powodu zaszczytnego odznaczenia przez Monarchę za jego cichą, lecz niestrudzoną pracę.

Szersze koła publiczności przyjmą zapewne z żywem zadowoleniem do wiadomości, że odznaczony jest duszą i sercem Polakiem, a jako tutejszokrajowiec swą wytrwałą pracą, zdolnościami i nieposzlakowaną uczciwością, dobił się wysokiego stanowiska, zaskarbiając sobie przytem powszechne uznanie i poważanie.

Życzyćby tylko należało, ażeby i jego następca powołany został z tej samej sfery urzędników, z której pochodzi Postel, a wtedy miałby kraj gwarancyę, że saliny krajowe rozwijać się będą na prawdziwej drodze postępu, bez ryzykownych eksperymentów.

Rzeź w Krożach. Z Litwy otrzymaliśmy nowy opis wypadków w Krożach. Chociaż korespondencya ta jest spóźniona, mimo to podajemy ją, gdyż zawiera niektóre nowe, wielce charakterystyczne fakta. Brzmi ona jak następuje:

U nas coraz gorzej i dzieją się rzeczy niesłychane. Nienawiść szyzmatycka ku Kościołowi katolickiemu daje się obecnie porównać z dzikością ludów bałwochwalczych, nieznających Boga, niemających ni sumienia ni wiary! Przychodzimy mimowoli do tego przekonania, a każdy przyzna, że nie ma przesady wobec tego, co się teraz tak niedawno działo w Krożach w gubernii kowieńskiej. Oto cała tego historya. Jeszcze w początkach roku 1892 przyszedł z Petersburga najwyższy rozkaz, kasujący klasztor w Krożach wraz z kościołem. Rozkazano klasztor i kościół rozebrać na cegłę, a zakonnice wywieść do Kowna. Komisya do tego naznaczona dwa razy jeździła do Kroż, ale zakonnice w liczbie dziewięciu ciągle zwlekały z wyjazdem, tłumacząc się np. chorobą. Tak się sprawa przewlekła do wiosny 1893 roku, gdy na początku lata tegoż roku wydany został powtórny ukaz carski, brzmiący tak samo jak pierwszy. Zakonnice zostały ostatecznie przewiezione, ale lud miejscowy pragnął kościół ten ochronić. Podano dwie prośby do cara (jednę jakoby do Danii, wprost czy nawet przez króla Chrystyana), w których proszono, aby rząd zechciał kościół ten klasztorny zostawić, a zabrać drewniany parafialny, znajdujący się w tem miasteczku, a chylący się ze starości ku upadkowi. Wysłano też w tej sprawie deputacyę do Petersburga. Lud ciągle oczekiwał odpowiedzi, a począwszy od 19 października do 21 listopada br. strzegł zagrożonego kościoła we dnie i w nocy. Komisyi naznaczonej dla przyjęcia tego kościoła i przyjeżdżającej do Kroż odpowiadano, że nie ma jeszcze odpowiedzi z Petersburga. Lud u wejścia do kościoła trzymał krzyż i portrety cara i carowej i tem się bronił i zasłaniał. Tak się rzecz miała do sławnego przybycia do Kroż kowieńskiego gubernatora. Aby się lud o tem nie dowiedział, gubernator kazał naprzód zaaresztować członków wyżej wspomnianej komisyi i zjawił się w nocy, w otoczeniu wiejskiej policyi (uriadników) na koniach, w Krożach. Kościół był oświecony i zapełniony ludem śpiewającym i modlącym się. Dwaj księża przemawiali do ludu i przedstawiali, że rozumniej byłoby, gdyby się wszyscy rozeszli; że to nie pomoże, bo kościół z rozkazu cara musi być zabrany itd.

Po drugiej przemowie lud dał się ostatecznie przekonać i po długim namyśle, powoli, najspokojniej kościół opuścił. Drzwi od kościoła zamknięto i wewnątrz pozostali księża, gubernator, a z ludu nie było nikogo. Tymczasem cóż się dzieje? Gdy lud wyszedł, policya na koniach, będąca koło kościoła, zaczęła ludzi okładać nahajkami. Ci, broniąc się, chwytali co kto mógł i wszczęła się walka, podczas której policya umknęła. Lud, zirytowany tą krzyczącą niesprawiedliwością, wraca do kościoła, zastaje drzwi zamknięte, wyłamuje więc je i wpada do kościoła, wypełniając go znowu w kilka chwil. Gubernator schronił się na chór, lud rzucił się do niego z najostrzejszemi wymówkami za popełnioną niesprawiedliwość: „Myśmy spokojnie wyszli — wołali — a ty każesz nas bić nahajkami, tyś przyszedł jak złodziej i postąpił jak nędznik ostatni itd itd." Złajano gubernatora najokropniej i gdyby nie ksiądz, będący przy nim, który go obronił, poturbowanoby go zapewne na dobre. Zmuszono potem gubernatora do napisania zeznania, że działa na mocy ukazu carskiego, że ma prawo zabrać kościół itd. i trzymano go tak uwięzionego na chórze od 3-ciej do 8-mej po południu. Przez ten czas gubernator pisał, darł to, co było napisane, kazał przynosić lepsze pióra i oswobodzony zaledwie został przez oddział kozaków, przybyłych do Kroż, który całe miasteczko otoczył i wszystkich zaaresztował. Najświętszy Sakrament pod konwojem wyniesiono do parafialnego kościoła, a na placu zaczęło się teraz katowanie ludzi! bito lud nahajkami strasznie, ile kto mógł wytrzymać, ci, którzy przy tem katowaniu stać musieli, stali we krwi!... Ze zgrozą i wstrętem o tem się pisze tembardziej, że to się działo u schyłku XIX wieku, w Europie, pod rządem, tak pięknie głoszącym tolerancyę religijną i swobodę wyznania!... O zaiste to woła o pomstę do Boga i kara Boża za takie występki nie minie, bo Bóg jest sprawiedliwy sędzia, który karze za złe sprawy!

Lud uciekał przed kozakami i niektórzy potonęli w miejscowej rzece, znaleziono potem trupy nieszczęśliwców; ilu jednak zginęło w nurtach rzeki i czy pozabijano ludzi, tak się z nimi po ojcowsku obchodząc, dotąd nie było na pewno wiadomo. Więzienia przepełnione biedakami, ale rząd chce całą tę sprawę umorzyć. Przyjeżdżał do Wilna, jak ze wszystkiego wnosić można dla tej właśnie sprawy, książę Kantakuzene, dyrektor departamentu obcych wyznań z Petersburga, ale kto wie, czy to coś pomoże? Jeżeli nic nie pomoże, na prawdę godne to będzie takiego rządu!

Na tem tylko dzisiaj zakończymy, zostawiając inne fakta na później.

Awans kolejowy. Do klasy dziewiątej o płacy 1200 złr. w etacie drugim J. Podrabski w Wiedniu, w etacie czwartym K. Buczek w Iwoniczu, F. Palusiński w Tarnowie, Antoni Nemetz w Rzeszowie, J Schedy w Krakowie, K. Wachtel, G. Zaroffa, J. Koronowicz i B. Kowalski we Lwowie, K. Zahajkiewicz w Brodach J. Gutkowski w Zborowie, w etacie piątym B. Batt w Krakowie, F. Samborski we Lwowie, o płacy 1100 złr. w etacie drugim Aug. Ogrodziński, R. Marcinkiewicz i G. Gebhardt w Stanisławowie, w etacie trzecim L. Klimkiewicz w Welsie, W. Moczarski w Zywcu, Sz. Piechowicz we Lwowie, B. Wasilewski w Stryju, w etacie czwartym M. Zukowski w Jarosławiu, H Spalke w Rzeszowie, J. Konopnicki w Biadolinach, K. Jana w Nowym Sączu, Ad. Lewicki w Stanisławowie, J. Schmutz w Kołomyi, J. Ukraiński we Lwowie, R. Rzehaczek w Bolechowie, Edward Zauderer w Zadwórzu, w etacie piątym J. Hillich i J. Pikuziński w Stanisławowie, K. Gänger i K. Laśkiewicz we Lwowie, o płacy 1.000 złr. w etacie drugim K. Tylec i Al. Jędrkiewicz w Tarnopolu, R. Zieliński, In. Hellebrand i W. Bałtarowicz w Stanisławowie, Aug. Eustachiewicz w Krakowie, w etacie trzecim T. Stachura i Ant. Wierzejski w Krakowie, Z. Zawadzki w Nowym Sączu, M. Mironowicz, Antoni Mleczko, M. Kotowicz i F. Puzikowski we Lwowie, w etacie czwartym K. Wodziczko w Stróżu, L. Tyralski w Tarnowie, F. Zygmund w Rzeszowie, F. Kubala w Podłężu, W. Piasecki, H. Loewenstein i L. Czerny w Krakowie, Er. Rogoziński i F. Sobolewski w Krośnie, Al. Spilhaczek w Jaśle, W. Łuszyński w Chodorowie, F. Heller w Brodach, L. Madey i J. Rogoziński we Lwowie, Ad. Kropiwnicki, w etacie piątym J. Szudrawy, F. Finzi, K. Heimrot i L Styber we Lwowie, o płacy 900 złr. w etacie pierwszym J. Hołyński we Lwowie, w etacie drugim Ab. Fischler, F. Szlachtowski i J. Kwiatkowski w Stanisławowie, W. Sperro w Dębicy, W. Czarzek w Starym Sączu, Ed. Schrenzel w Mszanie dolnej, J. Wolak w Jaśle, K. Kamocki w Krakowie, J. Dąbkowski w Susze, An. Loeger i Al. Zazula we Lwowie, w etacie trzecim H. Seltman, T. Tokarski w Krakowie, K. Morański w Nowym Sączu, Al. Podgórski, Ig. Szostakiewicz, M. Kirschner we Lwowie, W. Wiśniowski w Stanisławowie, w etacie czwartym F. Wojtowicz w Trzcianie, P. Paciorek w Tarnobrzegu, Aleksander Rogaliński, Er. Swidłowski, W. Krenzel, H. Uśieński, L. Schmidt i J. Ostrowski we Lwowie, M. Holzer w Zagórzu, J. Jankowski w Szczawnie, W. Kuśnierz w Kołomyi, Iz. Tolczes i M Wolański w Brodach, M. Szalfy w Mszanie, J. Popiel w Chryplinie, Adam Schubert w Korościatynie, Ed. Lityński w Suczawie, J. Lewicki w Mokrem, W. Bełkowski i S. Kaszuba w Stryju, W. Seferowicz w Tarnopolu, K. Jung w Przemyślu, B. Chodziewicz, w etacie piątym L Dubsky, L. Taub, B. Krzepowski i K. Czaprański we Lwowie, W. Pieterkiewicz w M. Szumberku, M. Mikocki, Ad. Chulawski, Em. Urbanowski, do klasy dziesiątej o płacy 800 zł. w etacie drugim Ad. Marek w Tarnopolu, B. Nagel w Stryju, J. Zajączkowski we Lwowie, w etacie trzecim T. Hordyński w Lincu, Al Modes w Rzeszowie, w etacie czwartym K. Lewiński, J. Otto i L. Wątróbski w Rzeszowie, S. Przylibski w Jarosławiu, K. Okniński w Gorlicach, J. Rogowski w Tarnowie, M. Czechowicz w Susze, L. Skawiński w Ptaszkowie, M. Kwanduk w Horyńcu, B. Jagusiński w Korczowie, J. Teisseyre w Tarnopolu, S. Bohus i J. Michałka w Przemyślu, J. Krzysztofowicz w Żużlu, M. Zucker, S. Meliński, J. Kuttig, F. Wegscheider, M. Rosenberg, T. Rawski, F. Ellinger i T. Skrzyszowski we Lwowie, A. Dorf w Jeziernie, L. Pikor w Zadwórzu, S. Kuncewicz w Dżurynie, R. Czarnożyński w Stanisławowie, A. Stawarski w Stryju, w etacie piątym Z. Guzek i L. Hepter w Krakowie, W. Szczudłowski, W. Postępski i R. Masłowski we Lwowie; o płacy 700 zł. w etacie trzecim Ad. Löwheer we Lwowie, J. Katz w Stryju, w etacie czwartym K. Kruczkowski w Radymnie, L. Maślanka w Jarosławiu, S. Stączek i H. Trzemeski w Stróżu, J. Szerląg w Jaśle, C. Ciepanowski w Łańcucie, M. Peter w Podwołoczyskach, A. Lewicki we Lwowie, Darm w Sądowej Wiszni, Ad. Porecki w Stryju, D. Teliczka w Stanisławowie, B. Begejowicz w Hatnie, B. Kałmucki w Suczawie, B. Korytyński w Husiatynie, w etacie piątym J. Mokrzycki i A. Błotnicki we Lwowie, w etacie szóstym J. Dziubandowski w Krakowie; o płacy 600 zł. w etacie trzecim F. Prachtl w Przemyślu, J. Mayer we Lwowie, S. Dekański w Stryju, w etacie czwartym K. Łabęcki w Słotwinie, Eug. Hawryszo w Radymnie, P. Kinda w Kamionce, F. Gernand w Wieliczce, J. Röhmer i M. Mühlbauer w Jarosławiu, W. Świerzyński w Sędziszowie, J. Twardowski w Przeworsku, F. Jarosz w Haliczu, I. Zimeles w Drohobyczu, L. Süsseles w Ławocznie, M. Kozłowski w Mikołajowie, A. Dolnicki w Podwołoczyskach, R. Tomeczek w Przemyślu, M. Gąsiorowski we Lwowie, E. Bieroński w Rawie ruskiej, J. Wróbel w Bilczu Wolicy, M. Bietkowski w Buczaczu, w etacie piątym K. Grzywieński w Stanisławowie, w etacie szóstym J. Marciszewski w Nowym Sączu, J. Borys w Stanisławowie, J. Ertel w Zagórzu; o płacy 500 zł. w etacie drugim G. Bertig w Jarosławiu, w etacie czwartym K. Starczewski w Tullnie, P. Nowakowski, S. Braun i M. Smutny we Lwowie, H. Stephan w Zborowie, J. Terlecki w Haliczu, W. Kulik w Ustrzykach, A. Stec w Hatnie, J. Dudryk w

Mszanie, E. Szafrański w Posadzie chyrowskiej, M. Pollak w Ciężowie, I. Ptaszek w Bóbrce, J. Sikora w Dobrosinie, F. Rudnicki w Monasterzyskach, Ig. Słonczyński w Starem Siole, R. Hoszowski w Niżniowie, J. Mayer w Stanisławowie, S. Kleczewski w Rodatyczach, w etacie piątym R. Brandowski, A. Vogelfänger we Lwowie, w etacie szóstym L. Olszanecki, Jicsinszki w Stanisławowie, R. Płonka i A. Kłodziejski w Sadcu, J. Stwora i Boryczko w Krakowie, K. Bukowski w Podgórzu, J. Gościecki w Stryju, T. Torosiewicz, S. Zawadzki, W. Paluch we Lwowie; aspirantami mianowani: Os. Lipp, J. Kantemir, J. Senyszyn, T. Skwirczyński, W. Chrzanowski, C. Nowosielski, I. Ślaski, C. Zbudowski, W. Kwiatkowski, J. Chomiński, W. Mucha, M. Mrozowski.

Z Berna morawskiego donoszą, że koncepistę adwokackiego dr. Ingwera z Tarnopola, po wypuszczeniu go z aresztu w Bernie, w którem odsiedział trzytygodniową karę za agitacyę socyalistyczną, wydalono z Berna i w ogóle z całych Moraw.

Zmiana własności aptek. Apteka „pod Koroną" J. Trauczyńskiego w Krakowie, przeszła na własność p. dr. J. Sleczkowskiego, zaś apteka pana Ernesta Stockmara „pod złotym słoniem" w Krakowie przeszła na własność p. E. Hellera, aptekarza we Lwowie, brata znanej śpiewaczki Miry Hellerówney.

W kwestyi zaprowadzenia monopolu wyrobu i sprzedaży dynamitu toczą się — jak donoszą pisma peszteńskie — rokowania między rządem austryackim a węgierskim. Następstwem zaprowadzenia tego monopolu byłoby upaństwowienie wszystkich fabryk, wyrabiających materye wybuchowe. Fabryk tych było w Austro-Węgrzech w r. 1885 10 i wyrabiały one 18.000 centnarów metrycznych dynamitu i innych środków wybuchowych. Po roku 1885 powstały jednak nowe wielkie fabryki, tylko że nie ma o nich urzędowych dat statystycznych. Export dynamitu w Austryi wynosił w roku 1892 1830 cetnarów. W razie zaprowadzenia monopolu przeszłyby wszystkie fabryki dynamitu pod zarząd ministerstwa wojny.

Echa ze wsi. Wózek, zaprzężony w cztery podpasione marchwią (bo jeden owies w cenie) bronowłoki, zatoczył się pod ganek. To pan Michał jedzie do miasta po sprawunki..

Służba wynosi paczki, koszyki, torby i torebki, fornal Maciej pakuje wszystko w wózek pod siedzenie z grochowin, aby „urychtować" jak się patrzy! Siadł na kozioł, magierki poprawia i czeka, spoglądając niecierpliwie w okna dworu, rychło-li pan wyjdzie? Już słońce ma się ku południowi, a do miasteczka opętane dwie mile, a na dobitek i mrzyć zaczyna!..

Nareszcie ubrany w burkę, z parasolem w ręku, wyszedł p. Michał i po drążku, chwyciwszy się oburącz wasążka, wydostał się na wózek.

— Jedź! — woła. Nim jednak Maciej zdążył bicz rozwinąć, by czwórkę z uśpienia rozbudzić, otwarły się jeszcze drzwi ganeczka i okryta wełnianą chustką pani domu wybiegła.

— Ale, ale, mężusiu! zapomniałam, kup jeszcze ze dwa funty migdałów, duże donice do tarcia maku, trochę szafranu.. tylko pamiętaj kochanie! bo tego w konotacie nie ma...

— No dobrze! dobrze już nie zapomnę... Jedź!

— Jeszcze, mój drogi, trzeba stoczków do choinki.... a o rybach pamiętaj, żeby ci śniętych nie dali....

Ale wózek już ruszył i szlachcic tylko znakami daje do poznania, że załatwi wszystko pomyślnie.

Furmanka, rozruszana konopianą zachętą Macieja, żwawiej ruszyła, błoto bryzga z pod kół na wszystkie strony, a p. Michał rozpostarłszy parasol, rozmyśla co to ma kupić, żeby przypadkiem czego nie zapomnieć, bo... urwanie łba! Toż to kłopot z temi świętami! W kieszeni ma kilka papierków, a sprawunków za kilkadziesiąt! Ha! nie ma rady — duma, trzeba Goldbergowi z pięćdziesiąt korcy owsa gruchnąć, fornalki na kartoflach i marchwi przezimują... Bo i co robić? Oj! oj! — wzdycha. A tu i rata nadchodzi i podatki trzeba uregulować i od bębnów za stancyę zapłacić.. Kara Boża! a w dodatku jeszcze i święta. To się tak zdaje, — ale porachować mąkę, mleko, jaja, masło etc. etc. — to setką nie opędzi! Co mi to jeszcze kazała kupić.. aha! stoczków.

Cała nadzieja w Goldbergu, ale szelma żyd zwącha pismo nosem i otnie cię o jakie 20 centów na korcu. Ha! trudna rada.

Dumania te przerywa jedynie gwałtowne nachylenie się wózka na wybojach; wówczas p. Michał przeginając swą figurę ku przeciwnej stronie „trzyma wagę".

Otoż i miasteczko. Po kilkogodzinnym pobycie, ubiwszy interes z Goldbergiem, załatwiwszy sprawunki i upakowawszy je starannie z Maciejem, wraca weselszy do domu. Zmierzcha się, więc zaleca Maciejowi ostożną jazdę, a sam, otuliwszy się w burkę, rozważa, czy wszystko kupił? Na szczęście wszystko jest: stoczki, migdały, donice, ryby świeżutenkie... będzie Basia kontenta!

Półmrok i dżdżyste powietrze przy powolnej jeździe usposabiają p. Michała do snu...

Zdrzemnął się i marzy... Kosztuje, bo kosztuje, ale zawsze to ładny ten nasz stary zwyczaj wspólnej wieczerzy, te życzenia składane przy opłatku, te pieśni rzewne, płynące z ust prostaczych na chwałę Pana nad Pany!

Marzy...

Oto czeladź ze starym karbowym na czele przyszła do dworu po kolędę. Kłaniają mu się do nóg, kruszą podawany opłatek, życząc „wszystkiego dobrego Wielmożnym Państwu", on odwzajemnia im się z serca. Podniosła chwila!

I szlachcic przez sen ociera spływającą łzę po policzkach, śniąc dalej...

Gwiazda zabłysła. Podają wieczerzę, święcone siano pod obrusem, obliczają czy każdy będzie miał swoją „parę" przy stole. Jak raz do pary! On, Basia, dwóch chłopców, Helenka z guwernantką, praktykant i poczciwy ks. wikary, który dał się uprosić i na taką „psią drogę" przyjechał! Pojadę za to razem na pasterkę... I znowu życzenia... Nikogo ominąć nie należy, bo dziś taki uroczysty dzień miłości bratniej i spójni! Zawczasu ułożył sobie, co komu ma powiedzieć: żonie coś szepnął, całując, do ucha, aż się zarumieniła, córkę i chłopców wyściskał, pannie Izie jakiś koperczak matrymonialny wymyślił, praktykantowi za całoroczną uciążliwą pracę podziękował, a z ks. wikarym wycałowawszy się z dubeltówki, szczere „do siego roku" zamienił, dodając półgłosem, „żeby tylko w przyszłym zboże lepiej płaciło..."

Apetyt po całodziennym poście wyśmienity. Już ostatnia z uprzywilejowanych potraw znikła z półmiska, a i o przysłowiu *post pisces vinum misces* nie zapomniano, gdy w drugim pokoju zabłysły na choince światła. Rusza się całe grono od stołu, pośpiesza i czeladź i wszystko co żyje, myśli i czuje pod strzechą ziemiańskiego dworu w nabożnej ekstazie, z oczyma wzniesionemi ku owej gwiazdce Betleemskiej, co nad kołyską Zbawiciela świeciła, nuci zaintonowaną przez ks. wikarego pieśń: „Bóg się rodzi, moc truchleje!" Nieuczone głosy zlewają się zgodnie w chór rzewnych melodyi, w smętny akord mol.. i płyną ze ścian białego dworku cudnym hejnałem po mlecznej drodze do stóp Najwyższego...

. . . .

— Ha, tośwa i w domu! — mruknął Maciej, strzelił z bicza i wózek zatoczył się pod ganek, ale poślednie koło natrafiło na kamień i o mało się cały ładunek nie wysypał. Rozbudzony z różowych snów szlachcic, obdarzywszy woźnicę epitetem „gamonia," huknął z całej piersi: „A jest tam kto?!"

Wybiegła służba. — Tylko ostrożnie znosić — zapowiada. Wchodzi do domu rad, że się dobrze spisał. Na wstępie zaraz żona pyta: A drożdże kupiłeś mężusiu?

— Przecież mi o tem nic a nic nie mówiłaś!

— Tobie wszystko zaraz trzeba powiedzieć; myślałam, że się domyślisz, że bez drożdży strucli upiec nie można! — fuka pani.

— Ależ moje dziecko... — oponuje szlachcic.

— Cóż teraz będzie?

— Ha! to trzeba jutro umyślnego posłać! A teraz dajcie mi herbaty, bom zmarzł jak kość!

Zajścia w Czernichowie. Jedno z pism krakowskich donosi, iż nieprawdziwem było doniesienie, że wszyscy uczniowie, z wyjątkiem wydalonego Jackowskiego, wrócili do zakładu. Z 72 uczniów, którzy przed ostatnim zajściem pobierali w zakładzie czernichowskim naukę, zapisało się na nowo tylko trzydziestu.

Śmierć elektryczna. W Londynie i Paryżu łapie policya codziennie tak wielką ilość psów, wałęsających się bez znaczka, że po upływie krótkiego terminu, w którym właściciel może się zgłosić po swojego psa, jest zmuszoną wszystkich jeńców tłumnie pozbawić życia. Dotąd zabijano te psy w ten sposób, że je wsadzano do szczelnie zamkniętej klatki i wpuszczano do niej kwas węglowy w takiej ilości, że psy się dusiły. Ale metoda ta była zbyt kosztowną, więc ją teraz zastąpiono elektrycznością. O wynalazku tym donoszą z Londynu. Zamyka się mianowicie bezdomnych włóczęgów do klatki, której podłogę stanowi siatka metalowa, połączona drutami z maszyną dynamiczną. Wtedy puszcza się silny prąd na siatkę i psy dotknięte prądem, w okamgnieniu, prawie bez żadnych bólów, padają nieżywe.

Zajście w teatrze. Dzienniki włoskie donoszą o następującem zdarzeniu w Weronie:

W teatrze Ristori, napełnionym szczelnie publicznością, dawano „Rycerskość wieśniaczą" i „Pajaców". Wszyscy słuchali uważnie z wyjątkiem dwóch oficerów w loży pierwszego piętra, którzy podczas przedstawienia najswobodniej głośną prowadzili rozmowę. Siedzący obok podżyły jegomość daremnie zwracał im uwagę na niestosowne zachowanie się. Oficerowie odpowiedzieli mu po grubijańsku. Stary pan znów po chwili odezwał się, że zapłacił, aby posłuchać muzyki, a nie rozmowy sąsiadów. Oficerowie roześmiali się i rozprawiali jeszcze głośniej. Gdy zasłona spadła, podnieśli się z miejsc i zażądali od nieznajomego, by poszedł z nimi. Stary pan był posłuszny. Udali się do kawiarni teatralnej, gdzie oficerowie wręczyli karty wizytowe swemu sąsiadowi, który z kolei podał im swoją. Zaledwie spojrzeli na kartę, dwaj oficerowie pobledli, salutowali po wojskowemu i z biedą zdołali wyjąkać: „Wybacz, jenerale!" Starym panem, ubranym po cywilnemu, był jenerał Gerolamo Pezzol, który przybył do Werony z Padwy na manewry wojskowe.

Zmarli. Antoni Nittman, poczmistrz, właściciel realności i były burmistrz, umarł w Pistyniu, w powiecie kossowskim. — Jan Korwin, właściciel dóbr ziemskich, umarł w Jureczkowej, przeżywszy 55 lat — Józefat Grabczyński, właściciel dóbr Gołąbkowice koło Nowego Sącza, umarł w 70 roku życia.

Stan powietrza. Term. — 20° o godz 8 rano, w poł. — 18° R. Barom. 781. Mróz silny.

Rzadki przemysłowiec. Że żydzi naszych wieśniaków na wszelki sposób wyzyskać i oszukać się starają, to stara historya, ale że czasem i chłopi żydów w pole wyprowadzają, choć rzadko się to zdarze, dowodzi następujący przykład: Pewien wieśniak, będący na jarmarku w jednem z małych miasteczek zachodniej Galicyi postawił, próbując szczęścia, przy tej sposobności na loteryę liczbową 20 ct. na trzy numera. W dzień wyjścia numerów wieśniak ten był w drugiem miasteczku, oddalonem o trzy mile od pierwszego. Właśnie kolektant wystawiał numera, gdy chłop nadszedł i przekonał się niestety, że żaden numer z postawionych przez niego nie wyszedł. Ponieważ przy stawianiu kolektant na kartce loteryjnej wieśniakowi numerów nie napisał, wpadł więc chłop na wyśmienity pomysł, który mu się w istocie udał. Oto kupił w jednym sklepiku pióro, w drugim atrament, a poszedłszy na ubocze napisał 3 numera z wyciągniętych, zamazał je prochem z ulicy, aby nie było świeżego pisma poznać i udał się przed kolekturę. Tutaj otworzywszy usta, zrobił minę głupiego, co mu się z wielką łatwością udało i zwracając się do jednego z gapiących się na numera żydków, rzecze: Popatrzcie-no, czy ja wygrał czy nie; postawiłem 4 numera, które mi się śniły, ale człowiek ta zwykle głupi nie zna pisma, to i nic nie wie, czy wygrał lub nie. — Aj waj, toć wyście wygrali terno; — wykrzyknął żydek. — A gdzie ja pieniądze dostanę i dużo to tych pieniędzy będzie?

Jeden z żydków, których już kilku chłopa otoczyło, poszwargotawszy po żydowsku, porozumiawszy się z innymi i oceniwszy, że tu może być dobry geszeft z głupim chłopem do zrobienia, rzecze: — Dostaniecie ze 40 zł. i to musicie iść tam, gdzieście stawiali. — Ot bieda i z pieniędzmi, ja muszę dzisiaj jechać na flis i nie mogę iść do tego miasteczka.— Jak chcecie, to my wam to za 36 zł odkupiemy, bo to jeszcze trzeba i na stemple dać z tego, to najwięcej z papierka zarobimy. — A może wy mnie chcecie oszukać i jabym więcej dostał. — No to sobie idźcie sami!

Po długich targach zapłacili żydzi chłopu 38 złr. i wzięli kartkę. Chłop pojechał na flis, żydkowie zaś ucieszeni dobrym geszeftem do N., gdzie się niestety dowiedzieli, że wprawdzie chłop ten stawiał na loteryę i kartka loteryjna jest z tej kolektury, ale numera inne.

Ze szkolnych anekdot. Uczeń gimnazyalny miał przetłomaczyć łacińskie zdanie: „*Cicero et Demosthenes duo magni oratores sunt*", ale młodzieniec nie słyszał nic ani o Cyceronie, ani o Demostenesie. Szuka tedy w podręcznym słowniku i znajduje takie krótkie wyjaśnienie: „Cycero — wielki mówca," „Demostenes — wielki mówca". A! rzecze do siebie, jestem już w domu, i tłomaczy: „Jeden wielki mówca i jeden wielki mówca, to razem dwaj wielcy mówcy".

Korespondencya Redakcyi. *WP. Blumenfeld w Drohobyczu.* Z powodu, że lwowskie drukarnie nie posiadają maszyn rotacyjnych, musimy od czasu, gdy doszliśmy do 6000 abonentów, dawać *Przegląd* nie o 4 ale o 2 po południu na maszynę. Druga we Lwowie, to $1^3/_4$ w Wiedniu, a o tej porze giełda nie jest jeszcze zamkniętą i przeto podawać nie możemy kursu z zamknięcia giełdy, bo ten kurs, przychodzi do Lwowa między 4 a 5 popołudniu. Nie rzadko kurs z godziny 11 nie przychodzi na czas do Lwowa i tak się spóźnia, że tylko w części nakładu podany być może.

Literatura i Sztuka.

* **Przegląd powszechny** za styczeń zawiera: Dzisiejsze stosunki w Królestwie Polskiem; Ks. Karol Antoniewicz: Pierwsze dni w klasztorze, przez ks. Jana Badeniego; Drugi wieczór nad Lemanem, przez ks. Maryana Morawskiego; Nowy pogląd na estetykę, przez Łucyana Rydla; Z niedawnej przeszłości, urywki z pamiętnika, przez Jerzego Kraskowskiego; Zjawienie z Kroż, wiersz ks. W. Piątkiewicza.

Rozmaitości.

— **Na wyspie Jesso.** Jedna z północnych wysp archipelagu japońskiego, Jesso, niezmiernie rzadko zwiedzana przez turystów, najwięcej pono przedstawia osobliwości, zwłaszcza ze względu na lud, wyspę tę zamieszkujący. Kamienista gleba wyspy przedstawia teren bardzo dla człowieka niewdzięczny, może też właśnie dlatego ongi rząd japoński deportował tu skazańców, zbrodniarzy, uważanych za szkodliwych w miejscowościach żyznych a zaludnionych. Nowoprzybyli zmieszali się z mieszkańcami rdzennymi, z Ainosami, i wytworzyli nową niemal rasę, niezwykle zwierzęcą i potwornie brzydką, która w antropologii naukowej znana jest pod nazwą „ludu-psów", jakkolwiek więcej, niż przyjaciół człowieka, przypomina małpy, gęsto włosami obrośnięte.

Mieszkańcy wyspy Jesso nie mają, jak ich sąsiedzi, Japończycy lub Chińczycy, oczu skośnych. Cera ich nie ma odcieni żółtawych, przedstawia raczej jasne zabarwienie plemion kaukaskich. Niestety pod grubą warstwą brudu trudno dobadać się barwy cery. Bo nigdzie może więcej, niż u Ainosów, czystość nie jest uważana za przesąd. Zdarzają się tam wioski, których ludność latami całemi zapomina o istnieniu wody.

Za to włosów nie brak na ciele Ainosa i to włosów wszelkich odcieni: blond, czarnych, nawet rudych. Broda przeciętnego mieszkańca wyspy zaczyna się tuż pod oczyma i w niesłychanie bogatych zwojach spada aż do pasa. Niekiedy nawet niższe części nosa pokryte są włosem, należy to jednak do rzadkości, wielce cenionych jako wdzięk osobliwy. W kraju Ainosów szacunek, jakim cieszy się mieszkaniec wyspy, pozostaje w stosunku prostym do długości i gęstości brody. Nawet kobiety, przez wcale zręczne tatuowanie, starają się zastąpić ozdobę, której im odmówiła natura, bo broda na Jesso — to symbol powagi i władzy.

W naiwnych swych wierzeniach Ainosowie mniemają, iż pochodzą od niedźwiedzia. Czczą też Misia jako bożka, a zauważyć należy, iż jedyne to bóstwo w nieskomplikowanej mitologii mieszkańców Jesso. Charakterystycznem jest, iż ubóstwiając niedźwiedzia, nie obchodzą się z nim bynajmniej ze względami nadzwyczajnemi. Przeciwnie w barbarzyńsko-prostej kuchni Ainosów niedźwiedź gra tę samą rolę, co wieprz w kuchni niemieckiej. Znajdziecie go wszędzie i w każdym czasie.

Jedynem zajęciem mieszkańców wyspy jest tuczenie niedźwiedzia, a każda rodzina ma swego. Dopóki niedźwiedź jest niedźwiadkiem, mają o nim wszyscy członkowie rodziny pieczę nadzwyczajną. Zwierzątko korzysta ze swobody zupełnej, a starcy, młodzież i dzieci z poszanowaniem głębokiem na kolanach podają mu żer. Z chwilą jednak, gdy niedźwiadek stał się niedźwiedziem, zamykany bywa do klatki i tuczony nielitościwie. Wreszcie nadchodzi chwila uroczysta: niedźwiedź jest utuczony, należy go dać na ofiarę. Cała wioska zbiera się i — co za cześć osobliwa? — zadaje zwierzęciu straszliwe katusze. Po długich, bardzo długich męczarniach biedne niedźwiedzisko zdycha. Rozpoczyna się szereg uroczystości, trwających przez dni kilkanaście z rzędu.

W bankietach uroczystych naczelnik plemienia zajmuje pierwsze miejsce. Jako dzierżący władzę ma przywilej picia więcej, niż inni, i jedzenia najobfitszego. Jest to zresztą jedyny przywilej jego władzy. Ainosowie nie znają prawie urządzeń społecznych, a naczelnik plemienia po za obrębem uroczystości, czci niedźwiedzia poświęconego i jest najzwyklejszym pod słońcem śmiertelnikiem. W razach wyjątkowych, w wioskach nadbrzeżnych, najczęstszą styczność z mieszkańcami wysp sąsiednich mają naczelnicy kierując wyprawami łowieckiemi. Wioski te jednak możnaby policzyć na palcach. Ogół Ainosów nie zna, co to władza, nie pojmuje nadto pożytku działania zbiorowego.

Język Ainosów świadczy o niesłychanie niskim rozwoju tego ludu. Słowa nie odmieniają się w czasach ani trybach, używane zaś bywają jedynie w trybie bezokolicznym. Rzeczowników na wyrażenie oddzielnych pojęć zna język ainoski bardzo mało. Podróżnik francuski, Savage Landor, który przez czas dłuższy na wyspie Jesso przebywał i obyczaje Ainosów badał, zdumiony był mnóstwem pierwiastków anglo-saskich w pierwotnym języku tych brodaczy. Zkąd się wzięły te naleciałości — niewiadomo. Nikt z mieszkańców wyspy objaśnić tego nie umie, a etnografia europejska zajmowała się dotychczas bardzo niewiele plemieniem, powstałem z krzyżowania Ainosów ze skazańcami japońskimi.

Na całym świecie istnieją podobno trzy ludy, które zdają się należeć do zamierzchłego jakiegoś okresu rodu ludzkiego. Pierwsze miejsce w barbarzyństwie niemal przedhistorycznem zajmują Weddowie z Cejlonu, drugie Pigmeje z Afryki środkowej, trzecie zaś Ainosowie północnych wybrzeży wyspy Jesso. O pierwszych pisali dużo uczeni francuscy, zwyczaje i obyczaje drugich studyował przez czas dłuższy Stanley i rezultaty badań skreślił w swych dziełach podróżniczych, o trzecich nie wie Europa prawie wcale.

O ile Weddowie z Ceylonu zasługują na wszelkie pochwały z punktu widzenia moralności europejskiej, o tyle karły ze środkowej Afryki w obliczu tejże moralności są potworami, wyzutymi ze czci i wiary. W szeregu tych dzikich plemion Ainosowie z Jesso trzymają się złotego środka. Żyją w poligamii absolutnej, która nie cofa się przed związkami nawet w najbliższej rodzinie, ale za to odznaczają się charakterem łagodnym, uczciwością w wysokim stopniu szanującą cudzą własność. Okrucieństwo zachowują tylko dla niedźwiedzi swych ubóstwianych, względem zaś przybyszów obcych, których, nawiasem mówiąc, widują bardzo rzadko, są zazwyczaj gościnni.

— **Midwinter Fair.** Prace około wystawy kalifornijskiej „Midwinter-Fair" w San-Francisco postępują szybko naprzód. We wszystkich oddziałach ruch panuje gorączkowy. Chociaż termin otwarcia bliżki (w styczniu 1894 r.), kierownicy całego przedsiębiorstwa mogą spokojnie spoglądać w przyszłość. Pałace przemysłu, sztuk wyzwolonych, sztuk pięknych, rolnictwa, ogrodnictwa, zarówno jak i budynki administracyi, są blizkie ukończenia. Rządy dwudziestu pięciu państw oświadczyły gotowość wzięcia udziału w wystawie. Honduras, Costa Rica, Brazylia, Chiny, Japonia, Ceylon, Guatemala, rozpoczęły budowę własnych pawilonów, których liczba prawdopodobnie wzrośnie jeszcze. Nie same tylko martwe okazy oglądać będzie można na wystawie w „Golden Gate Park." Goście będą mieli sposobność obserwować tryb życia rozmaitych narodów, przedstawiony w sposób realny i oryginalny zarazem. Więc poddani Mikada będą posiadać własną wieś, chińczycy, turcy, egipcyanie, algierczycy, persowie we własnych domach będą widzialni przy codziennych zajęciach. Niemcy popiszą się zamkiem heidelberskim, a wiedeńczycy przeniosą kawałek wesołego Prateru. Budowa „heidelberskiego zamku" kosztować ma 100,000 dolarów. Prace około utworzenia Prateru już są w biegu. Dalej znajduje się tu wioska eskimosów, kopalnie złota w Colorado, wieś hiszpańska, akwaryum z rybami morskiemi, dzwon wolności Kolumba, budynek chiński z grobem Konfucyusza, wieża elektryczna 226 stóp wysoka, błyszcząca 8,000 różnokolorowych świateł i wiele innych rzeczy godnych widzenia. Kosmopolityczna ludność San Francisco okazuje niezmierne zainteresowanie wystawą, której rozmiary będą cokolwiek mniejsze od wystawy w Chicago, ale będzie tę ostatnią przewyższać wyborną organizacyą i wielostronnością.

— **Największy brylant.** W piwnicach banku angielskiego złożono temi dniami największy brylant w świecie. Nazywa się on „Excelsior", a znalazł go ostatniego czerwca kapitan Edward Jorganson, w kopalniach Jägersfontaine, na przylądku Dobrej Nadziei. Znawcy orzekli, iż „Excelsior" jest kamieniem najczystszej wody, wartości przynajmniej miliona funtów szterlingów. Mierzy 3 cale długości i tyleż szerokości, waży 971 karatów, barwę ma białą z lekkim odcieniem błękitu, a świetność blasków dziś już, przed oszlifowaniem, ma być zdumiewającą. Przewieziono dyament z zachowaniem największej ostrożności; z Jägersfontaina do Cape Town towarzyszyła brylantowi eskorta całego szwadronu ułanów; z Cape do Londynu przywiózł „Excelsiora" wojenny statek „Antilope". Klejnot należy do właścicieli kopalni, pp.: Breitmeier i Bernheimer: rząd angielski ofiarował im pół miliona funtów za skarb ten, oni jednakże propozycyę odrzucili. Według najświeższych wiadomości nabywcą „Excelsiora" ma zostać niebawem cesarz Wilhelm.

— **Chińczycy**, jak to zaobserwował przypadkiem niedawno jeden z jenerałów, składają ofiary nawet swoim armatom. Jenerał ów wraz z kilkoma oficerami sztabu podpatrzył artylerzystów chińskich z garnizonu w Czin-Kiang, jak odprawiali właśnie taką ceremonię. Przywiązawszy do wylotu każdej armaty głowę wieprzową, żywą kurę i rybę, poklękali dokoła, zanosząc prośbę do duchów kierujących strzałami, aby podczas wojny kule dobrze do celu trafiały, aby armaty nie pękały przy strzelaniu itd. Ceremonię zakończyły wystrzały, przy czem naturalnie „ofiary" rozpierzchły się po powietrzu, rozszarpane na tysiące cząstek, a artylerzyści chińscy rozeszli się zadowolnieni.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 2 stycznia.

(Z) Nowy rok rozpoczął się na naszej giełdzie pod znakiem haussy. Nie powstrzymały jej ani dalszy spadek rent włoskich, ani rozruchy na Sycylii, ani skandaliczny werdykt sędziów przysięgłych w Angoulemie pogłębiający przepaść między Włochami a Francyą. Nasze sfery giełdowe nie zważają dziś na te wypadki, a zajęte są głównie podróżą p. Plenera do Pesztu, po której spodziewają się nowych wielkich operacyi finansowych. Podniecająco działa w tym względzie dokonany tymi dniami ostateczny obrachunek zysków osiągniętych z konwersyi austryackiej renty. Obrachunek ten przedstawia się jak następuje: Ogółem skonwertowano austryackich walorów za 299 milionów reńskich, zysk osiągnięty na tej operacyi przez banki wynosi 4·786 milionów reńskich. Z tego dano państwu przypadającą mu wedle umowy część t. j. 486255 zł.. z reszty zaś wzięła 80 prc. tj. 3·44 milionów grupa rotszyldowska, pozostałe zaś 20 prc. podzieliły między siebie następujące banki: Länderbank dostał 258.000 zł., Nankverein 172.000, Anglobank i Unionbank po 150.900, a towarzystwo eskontowe 129.000. Tyle zarobiły banki na konwersyi austryackiej; rezultatu obliczenia zysków z konwersyi walorów węgierskich jeszcze nie ogłoszono, ale będą one nierównie większe, raz dla tego, że p. Weckerle przyznał grupie rotszyldowskiej nierównie korzystniejsze warunki, aniżeli p. Steinbach, a powtóre, była to operacya na większe rozmiary, gdyż walorów węgierskich skonwertowano za 482·66 milionów zł.

W obec tego nie dziw, że w papierach bankowych, zwłaszcza w walorach grupy rotszyldowskiej, rozpoczyna się prawdziwie dzika spekulacya, której targ berliński już nie przeszkadza, lecz przeciwnie sam ją nawet podsyca.

Obok papierów bankowych na pierwszym planie są dziś renty. Stają się one ulubionym papierem na giełdach niemieckich.

Nie mało przyczyniła się także do wzmocnienia tendencyi targu zwyżka kursu rubli, które doszły do 1.33. Wspomnieć w końcu muszę o tem, że od kilku dni spada stopa procentowa na targach zagranicznych w tempie bardzo pośpiesznem, co wskazuje na to, że muszą tu być w grze bardzo potężne wpływy. W Berlinie spadł eskont ostatnimi dniami z $4^1/_4$ na $3^3/_8$ prct, a w Londynie z $2^1/_2$ na $1^7/_8$ prct. W związku z tem stoi dalszy spadek kursu monet złotych.

Ostatnie notowania:

Kredytowe aus. 349·75, węgierskie 418·75, Anglobanki 153·50 Uniony 257·20, Bankvereiny 126·25, Länderbanki 253·—, Ludwiki 216·25, Czerniowieckie 262·—, Elbethale 242·25, Renta papierowa 97·95, srebrna 97·75, austryacka złota 118·45 4% austr. renta wal. kor. 96·70, węgierska złota 116·45, 4% węgierska renta wal. kor. 94·65, dukat 5·88, 20-frankówka 9·99—, marki 12·20, ruble $1·32^1/_2$.

§ **Z wiedeńskiego targu bydła.** Na poniedziałkowy targ przypędzono 3357 sztuk bydła, a w tej liczbie z Galicyi 275 sztuk opasowych i 13 chudych. Nie sprzedano 8 sztuk.

Płacono: galicyjskie 53 do 66·00 zł., węgierskie 53—66·00 zł., z innych krajów koronnych 54 do 69·00 zł., krowy 21—32·00 zł., za 100 kilo żywej wagi.

Bydło chude od 26 do 80·00 zł. za sztukę.

§ **Targ na nierogaciznę.** Na wtorkowy targ w Wiedniu dowieziono 1368 sztuk galicyjskiej żywej nierogacizny, płacono 35—38 zł., za towar przedni 40—42 zł. za 100 kilo żywej wagi.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 4 stycznia. Wczoraj otwarto sejmy górnej Austryi, Tryestu i Istryi. W sejmie istryjskim urządzili posłowie kroaccy zaraz po zagajeniu posiedzenia demonstracyę, gdy bowiem przewodniczący przedstawił zebranym reprezentanta rządu, kroaccy posłowie wyszli ostentacyjnie ze sali tak, że przewodniczący dla braku kompletu musiał zamknąć posiedzenie.

Rzym 4 stycznia. Audyencya biskupa tyraspolskiego ks. Zerra u Papieża stoi rzeczywiście, jak to doniesiono, w związku z nieporozumieniami między Watykanem a Rosyą co do położenia Kościoła katolickiego w Polsce. Z tego powodu szerokie koła tutejsze wnoszą, że nawiązane zostaną znów oficyalne stosunki dyplomatyczne między Watykanem a Rosyą. Rząd rosyjski ma nadzieję, że w ten sposób uda się mu zapobiedz wydaniu encykliki papieskiej o położeniu katolików w Polsce.

Przed pałacem senatora Dali eksplodowały wczoraj w nocy dwie petardy, nie zrządziły jednak wielkiej szkody.

Bunt na Sycylii wzmaga się. W mieście Trapani napadł wczoraj tłum złożony z 200 osób na urząd gminny, rozpędzono go jednak. W Gibellina zbuntowała się również ludność przeciwko władzy gminnej Podczas rozruchów zginął jeden urzędnik sądowy.

W Salemi spalono dom Sióstr miłosierdzia, gmach banku ludowego, dom notaryusza i wiele innych budynków prywatnych. Chłopi sycylijscy mają podobno kilka tysięcy karabinów.

Minister wojny skutkiem powziętej przez cały gabinet decyzyi, zarządził mobilizacyę dalszych 12.000 żołnierzy. Oddział ten odpłynie 8-go stycznia na Sycylię, celem wzmocnienia tamtejszych garnizonów. W ten sposób liczba żołnierzy na Sycylii wyniesie 40.000.

Paryż 4 stycznia. Sąd policyi poprawczej skazał właścicielkę handlu wdowę Millecamps na pięć lat więzienia za to, że gdy pewien człowiek pełniący z polecenia rządu służbę szpiegowską, zgubił w jej lokalu rozmaite plany i dokumenta, ona nie odniosła tych planów do policyi, lecz pokazywała je rozmaitym osobom.

Sofia 4 stycznia. Wczoraj zniesiono kwarantanę, zaprowadzoną na podróżnych i przesyłki z Austro-Węgier i Rumunii.

Abbazia 4 stycznia. Arcyksiężna wdowa Stefania przybyła tu wczoraj.

Rzym 4 stycznia Dzienniki donoszą, że robotnicy sycylijscy, związani w stowarzyszenia *Fasci dei lavoratori* posiadają broń w takiej ilości, że mają przeszło kilkanaście tysięcy karabinów. W Gibellina przyszło już do starcia wojska z robotnikami. Wojska użyły broni palnej, pięciu robotników zabiły, a pięciu ciężko raniły. W Pietraperzia zabito w dzień Nowego roku 8 osób, a 15 raniono. Jeden żołnierz ranny jest także śmiertelnie.

Jedno z pism tutejszych rozpisało składki na rzecz ofiar rzezi w Aigues Mortes. Ponieważ skutkiem wyroku sądu w Angoulemie, uwalniającego sprawców tej rzezi, zachodzi obawa demonstracyi, przeto przedsięwzięła policya tutejsza bardzo obszerne środki ostrożności.

Przyjechali do Lwowa

dnia 4 stycznia 1894.

HOTEL ŻORŻA. M. Burzyński z Buczacza. J. Fedorowicz z Krzeszowic. A. Aulich z Laskiego. G. Platz z Borysławia. J. Kolendra z Bukaresztu. S Wybranowski z Nieświrza.

HOTEL VICTORIA. J. de Morawiańska z Przemyśla. H. Stein z Wiednia. Ksiądz K. Bauch z Żółkwi. W. Boziak ze Złoczowa. J. Jakubowicz z Pożnik. A. Wielecki z Przemyśla. S Mayerhoffer z Lispezu. S. Kobylański z Pożnik. M. Błocki ze Złoczowa.

HOTEL METROPOL. R. Tomrzyński z Krasiczyna. L. Orłowska z Jaryczowa. K. Ogroszko ze Stanisławowa. Wład. Lewicki z Trembowli. S Fleischhacker z Tarnopola. Wł. Kinal z Horożanki.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

RUCH POCIĄGÓW.

(*Zegar lwowski*).

	Kuryer		Osobowy		
Odchodzą do					
Krakowa	3·01	10·41	5·26	11·11	7·36
Podwołoczysk	6·44	3·20	10·16	11·11	—
Podw. Podza.	6·54	3·32	10·40	11·33	—
Czerniowiec	6·36	—	10·36	3·31	10·56
Stryja	—	—	7·21	10·26	3·41
Bełzca	—	—	9·56	7·21	—
Przychodzą z					
Krakowa	3·08	6·01	6·36	9·41	9·35
Podwołoczysk	2·48	10·02	6·21	9·46	—
Podw. Podza.	2·34	9·46	9·21	5·55	—
Czerniowiec	10·10	—	7·11	7·59	12·51
Stryja	—	—	1·08	9·06	9·52
Bełzca	—	—	8·16	5·26	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

46)

BLADA DYANA.

POWIEŚĆ

przez

JULJUSZA MARY.

(Ciąg dalszy).

Na liście tej znaleźli się: prokurator Michelier, sędzia śledczy Montaiglon, wachmistrz żandarmów Sourdot, lokaj jego ojca Hieronim, dozorca więzienia Magnificat, który Maryę wyciągnął z wody, doktór Tiercelin, restaurator Piedalu, posługacz na stacyi kolei żelaznej Giraudier, nakoniec dwaj włóczędzy Persillard i Jactain, podejrzywani w początku sprawy o współnictwo z Bernardem.

Wiedział nadto, że niektóre dzienniki pomieściły portret Bernarda i jednemu z księgarzy w Mende polecił postarać się o nie.

Następnie uwolnił się od obowiązków na dni kilka i pojechał do Mende. Chciał poznać się z prowadzącymi niegdyś śledztwo urzędnikami. Bartoli wiedział o tem wszystkiem, gdyż Antonio nie ukrywał tego przed nim i w obawie, by pan Montaiglon nie wypowiedział się z czemś, wysłał do niego list następujący:

„Jeżeli pan pamięta Bernarda, jego wyznanie, cierpienia i karę, której sam pragnął, pomimo swej niewinności, to mam nadzieję, że odmówi pan wszelkiego wyjaśnienia Antoniemu d'Hériband, mającemu za dni kilka zgłosić się do pana. Odmową swą nie dopuści pan do wielkich nieszczęść. Bernard."

Bartoli wiedział, że mógł rachować na życzliwość byłego sędziego śledczego i dla tego na wyjazd Antonia spoglądał bez obawy.

Mimo to, widział gromadzące się wokoło siebie niebezpieczeństwa. Nagle odżyła cała przeszłość. Fatalność ciążyła nad jego głową. Czy potrafi uniknąć grożącej mu katastrofy, czy po raz drugi i już na zawsze, życie jego nie zostanie złamane?

Dwa dni przepędzone w Mende, wystarczyły synowi Maryi do zebrania niektórych wyjaśnień i widzenia się z osobami, pozostałemi jeszcze przy życiu.

Sourdot wziął dymisyę i służył w jakimś banku w Paryżu; Hieronim wyjechał niewiadomo dokąd, zresztą był już starym i może nie żył; nadzorca Magnificat zmarł, jak również i doktór Tiercelin; oberżysta Piedalu opuścił Mende; Giraudin służył na kolei żelaznej w Tunisie.

Pozostali więc tylko pp. Michellier i Montaiglon, oraz dwaj włóczędzy Persillard i Jactain. P. Michellier z powodu zdrowia, od pięciu już lat mieszkał w Algieryi, o odszukaniu włóczęgów na razie trudno było myśleć, pozostawał więc tylko p. Montaiglon.

Były sędzia śledczy, otrzymawszy list Bartolego, a następnie kartę wizytową Antonia, powziął natychmiast postanowienie:

— Będę go bronił — rzekł do siebie. — Jestem najmocniej przekonanym, że Bartoli jest niewinnym. Po co poruszać tę sprawę, skoro nie było zbrodni, a tem samem i winowajcy?

Nie bez pewnej też ciekawości spoglądał na wchodzącego do gabinetu młodego człowieka, zbudowanego silnie, o surowym wyrazie oczu, wyniosłem czole i zaledwie widzialnych wargach. Instynktownie uczuł niechęć ku niemu.

— Ten chłopiec ma głowę zbrodniarza — szepnął, a głośno dodał: Nie bez wzruszenia widzę pana, młodego człowieka, którego niegdyś znałem dobrze i z którym utrzymywałem stosunki przyjacielskie.

— Niech pan przebaczy mi — odrzekł Antonio, lekko skłoniwszy się — że zapomniałem o tych stosunkach... lecz byłem wówczas tak młodym.

— Rzeczywiście.. wszak to ośmnaście lat upłynęło od tej katastrofy... Powinieneś pan mieć około dwudziestu trzech lat. Pańskie siostry, Klara i Dyana, muszą mieć po lat dwadzieścia... jeśli się nie mylę...

— Rzeczywiście.

— Czy pozostały na Korsyce?

— Nie, opuściły wyspę i mieszkają we Francyi, w górach Seweńskich, u przybranego brata mej matki, Jana Bartolego.

P. Montaiglon nie mógł ukryć zdziwienia. Antonio spostrzegł to.

— Czy pan zna p. Bartolego? — zapytał.

— Z nazwiska tylko... podobno jest właścicielem kopalni węgla?

— I bardzo bogatym.

— Mówiono mi nie tyle o jego majątku, ile raczej o jego wspaniałomyślności, dobroci i współczuciu dla biednych.

Po kilku chwilach milczenia, Antonio odezwał się:

— Celem mojej wizyty, oprócz złożenia uszanowania przyjacielowi moich rodziców, jest powiadomienie pana, że postanowiłem odszukać zabójcę mego ojca i pomścić go i w tym celu, sądzę, że mam prawo liczyć na człowieka, reprezentującego tutaj prawo i sprawiedliwość.

— Jesteś pan zbyt młodym i niedoświadczonym, byś mógł domagać się podobnego prawa.

— Tu chodzi o mego ojca.

— Przedewszystkiem niech mi wolno będzie przypomnieć panu, że nikt nie powinien wymierzać sobie sprawiedliwości. O prawie tem na Korsyce zapominają często w swych sporach zaściankowych i rodzinnych, ale tutaj należy o niem pamiętać.

— Jest wiele sposobów ukarania — odrzekł Antonio ponuro. Postanowiłem odszukać i zdemaskować człowieka, który wtedy zdołał uniknąć rąk pańskich.

— I do czego to posłuży?

— Uważam to za mój święty obowiązek.

— Czy możesz pan rachować na powodzenie, gdy władzy się nie udało?

— Mam niewątpliwą nadzieję.

— Na czem ją pan opierasz?

— Gdy go odszukam, nie wyprze się przedemną jak przed panem...

— Więc chcesz pan odkryć jego prawdziwe nazwisko?

— I powody zbrodni.

— Lecz skądże pewność, że był on winnym?

— Przecież sam się obwinił!

— Nie będę panu powtarzał tego, co niegdyś powiedziałem jemu, samo przyznanie się nie stanowi jeszcze dowodu... A ponieważ znane są panu szczegóły sprawy, wiadomo więc również, że Bernard został uniewinniony.

— Ja znajdę dowody, których brakowało sędziom przysięgłym.

— Skądże pan wiesz, że Bernard jeszcze żyje?

— Mam przeczucie.

— A jeśli mimo wszystko, mimo pozorów, okaże się, że wyrok był sprawiedliwym?

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Że jeżeli Bernard rzeczywiście nie popełnił zabójstwa, o które sam się obwinił i które mu pan zarzucasz?

— Skąd pan to wie?

— Jakże nie mam wiedzieć? Jako sędzia śledczy, muszę słuchać nieraz zwierzeń najboleśniejszych... Przypominam je sobie dobrze...

— W takim razie byłby pan sprawę umorzył i nie odsyłał aktów do prokuratora.

— Widzę, że pan obeznany jest z procedurą w takich wypadkach.

— Tak mnie objaśniono.

— Nie mam potrzeby tłumaczyć się panu, ani z powodów ówczesnego mego postąpienia, ani moich przekonań dzisiejszych.

— Nie żądam od pana wyjaśnienia tych powodów. Znam tę sprawę dobrze. Sąd przysięgłych uniewinnił Bernarda z braku dowodów. Oto i wszystko.

P. Montaiglon milczał przez chwil kilka, następnie odezwał się:

— Upewniam pana, że się mylisz.

— Przyszłość mię oświeci. Tymczasem przybyłem prosić pana o wydanie mi aktów sprawy. Być może, że znajdę w nich punkt wyjścia dla moich poszukiwań osobistych.

— Wszystkie szczegóły były ogłaszane i z aktów niczego się pan nie dowie.

— Niech pan pozwoli mi wątpić o tem.

— Nie — odrzekł urzędnik sucho. — Nie pozwalam panu.

— Więc odmawia mi pan udzielenia aktów?

— Stanowczo.

— Dla czego?

— Ponieważ sprawiedliwość wypowiedziała już ostatnie swoje słowo.

— A jeżeli ona omyliła się?

— Jest to na niczem nie oparte przypuszczenie.

— A jeśli przedstawię panu dowody?

— Alboż je pan posiadasz?

— Nie posiadam ich jeszcze, ale proszę pana o ułatwienie zdobycia ich, tymczasem pan odmawia mi...

— Powtarzam, że nie dowie się pan z nich niczego nowego... Niech pan mi wierzy... jestem stary i widziałem wiele cierpień ludzkich... Zdarzało mi się nawet patrzeć, nie mogąc przeszkodzić, na niesprawiedliwości... Mam więc doświadczenie i znam życie... czego właśnie panu brakuje... Zapomnij pan o tych smutnych wypadkach...

— Nigdy!

— Zapomnij pan o nich, gdyż wywołując je, wskrzeszając je, możesz pan narazić się tylko na cierpienie...

— Śmierć mego ojca i matki nie została pomszczoną...

— Skąd masz pan pewność, że ta zemsta nie będzie niesprawiedliwością?

— Więc pan jest przekonanym, że Bernard jest niewinnym?

— Jest stanowczo niewinnym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Odpowiedzialny redaktor: **Ludwik Masłowski.** — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej — Z drukarni nar. W. Manieckiego — Zarządca W. Hodak.